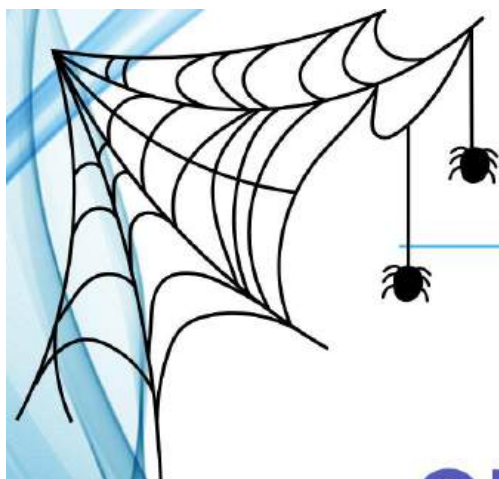




OPOWIADANIA GROZY

TOM I

**Zbiór opowiadań
w konwencji gotycyzmu
napisanych przez uczniów**

IV LO

**w SOSW dla Dzieci
i Młodzieży**

**Niepełnosprawnej
w Dąbrowie Górniczej
w ramach konkursu
z okazji**

Dni Autorów Europejskich

listopad - grudzień 2025



SPIS TREŚCI

1. „List, którego nikt nigdy, nie miał przeczytać.” – Emilia Jonczyk
– str. 3
2. „Wybór ostateczny” - Martyna Szyguła – str. 5
3. „Zimowy rodzinny wyjazd” - Julia Sekunda – str. 11
4. „Coś...” – Blanka Łaskawiec – str. 13
5. „Cisza nad Ciernistą Przełęczą” – Wojciech Dziak – str. 14
6. „Zamek na wrzosowisku” – Agata Pawińska – str. 17
7. „Krwawa noc” - Maksymilian Styra – str. 43
8. „Tajemnicza komnata” - Agata Jaskuła – str. 44

List, którego nikt nigdy, nie miał przeczytać

Nie wiem, dlaczego Pani Helena właśnie mnie poprosiła o pomoc. Mieszkałyśmy drzwi

w drzwi od dobrych kilku lat, ale rozmawiałyśmy tylko o zakupach, pogodzie i tym, że zepsutej windy znów nie naprawiono. A jednak pewnego niedzielnego popołudnia zapukała drżącymi palcami do moich drzwi i powiedziała do mnie cichym łamiącym się głosem:

- Chodź ze mną. Muszę ci coś pokazać. Sama nie dam rady, jestem na to zbyt słaba. Nie zapytałam o co chodzi. Jej twarz mówiła mi wystarczająco wiele – była blada, zmęczona, z cieniem czegoś, czego nie umiałam nazwać i ubrać w odpowiednie słowa.

Zaprowadziła mnie na swój strych. Pachniało tam kurzem i starością, ale było w tym coś jeszcze...coś, co przypominało chłód piwnic, mimo tego że byliśmy na górze. Dotarliśmy do starej skrzypiącej drewnianej szafy. Otworzyła ją bardzo powoli, jakby bała się, że coś zaraz wyskoczy ze środka.

- Weź to – powiedziała i podała mi niewielkie pudełko przewiązane zniszczoną, prawie przetartą wstążką – Ja tego nie otworzę. Próbowалам wiele razy ale...nie mogę.

- Dlaczego? – zapytałam.

- Bo czasem strach jest silniejszy niż my sami.

Zadrżało we mnie. Nie pytałam o nic więcej.

Pudełko było lekkie, jakby puste. Ale jego lekkość była... niepokojąca. Jak cicha tajemnica, która dopiero czeka, aż postanowisz ją odkryć.

W środku był tylko jeden list.

Na kopercie widniało:

„Dla Zosi, jeśli nie wrócę. Nie otwieraj, jeśli żyję.”

Serce ścisnęło mi się tak mocno, że musiałam na moment usiąść.

- To od mojego ojca - Powiedziała pani Helena. – Nigdy nie wrócił z powstania. Mama listu nie otworzyła. Ja też nie. Nie wiem czy powinnam...ale nie chcę umierać z tą ciszą w sobie.

Kiedy wsunęłam palec pod krawędź koperty, Pani Helena odsunęła się kilka kroków w tył, jakby bała się tego co zaraz usłyszy.

Ja też się bałam. Ale to było takie dziwne – bałam się słów które jeszcze nawet nie zostały wypowiedziane.

List był krótki. Ale nie był taki, jak się spodziewałam.

„Zosiu, jeśli to czytasz...”

„...to znaczy, że stało się najgorsze.

Że jesteś sama, a ja zawiodłem.”

To nie brzmiało jak list do ukochanej. To brzmiało...jak spowiedź kogoś, kto wiedział więcej niż wszyscy inni.

„Dziś zamknęli nas w piwnicy. Powiedzieli, że to tylko na chwilę i że nic nam nie grozi, ale ja wiem, że kłamią. Słyszałem okropnie głośne krzyki za murem. Ktoś powtarzał, że ściana jest cienka. Że wszystko słyszać.”

„Była tu dziewczynka. Taka może ośmioletnia. Zgubiła matkę. Kiedy uciszyli ją po raz trzeci, przestała mówić. A potem przestała oddychać.

Nie umiem zapomnieć jej oczu i ociekających łez po policzkach, najgorsze jest to, że ja nawet nie mogłem nic zrobić, nikt nie mógł.”

Poczułam, jak drętwieją mi dłonie.

List był coraz gorszy, coraz cięższy.

„Wiem, że jeśli wyjdę, nie będę już tym samym człowiekiem. Nikt, kto tu wszedł, nie wychodzi taki sam.

Ludzie czasem patrzą na mnie tak, jakby już widzieli we mnie trupa.

A ja...ja zaczynam patrzeć tak samo na nich.”

To było jak czytanie czyjegoś strachu w najczystszej, najboleśniej formie.

„Zosiu jeśli uda mi się wrócić – spał ten list.

Jeśli nie wrócę – ukryj go tak, żeby nigdy nie trafił w ręce dziecka.”

To ostatnie zdanie sprawiło, że wszystkie włosy stanęły mi dęba.

„Bo są rzeczy, których młody człowiek nie powinien wiedzieć o dorosłych.”

Pod spodem było tylko jedno słowo.

Jan.

Kiedy skończyłam czytać, strych wydawał się jeszcze ciemniejszy. Pani Helena trzymała się za poręcz, żeby nie upaść, spoglądając widziałam jak uginają się jej nogi, a skóra robi się coraz bardziej blada.

- To nie był bohater, prawda? - Wszeptała.

Zastanowiłam się chwilę .a potem powiedziałam najuczciwiej, jak potrafiłam:

-Może bohaterstwo nie wygląda tak , jak w podręcznikach.

Prawdziwi bohaterowie to ci, którzy bali się najbardziej, ale mimo wszystko... żyli dalej.

Jej oczy napełniły się łzami.

-On nigdy nie wrócił- powiedziała cicho.- A ja całe życie bałam się, po prostu... uciekł.

Podałam jej list.

Przytuliła go, jakby trzymała w rękach serce kogoś, kogo dawno straciła.

A ja tamtego dnia zrozumiałam coś, czego nie uczą w szkole:

Największa groza wojny nie kryje się w broni.

Tylko w Ludziach, którzy wracają – ale zastawiają za sobą część siebie w miejscach, o których nie chcą mówić.

I w listach, których nikt nie powinien czytać, ale które czasem ratują tych, którzy przez całe życie bali się otworzyć jedną kopertę.

Emilia Jończyk kl. 3b LO

Wybór ostateczny

Las zdawał się nie mieć końca, gdy słońce, kończąc swój bieg na niebie, zaszło już za horyzont. Noc zrobiła się chłodniejsza, a wiatr kołysał gałęzie drzew, szeleszcząc ich liśćmi

w każdym możliwym kierunku. Jesień natomiast dawała o sobie znać, że zbliża się wielkimi krokami. Zimne powietrze dmuchało prosto na rumiane od zimna policzki blondyna, który ciągle pilnował swojej drogi. Ta z kolei zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Długa ścieżka, oświetlana tylko przez jasny blask księżyca, wydłużała się niemiłosiernie.

Nastolatek zatrzymał się na chwilę. Przejrzał raz jeszcze lecz dokładnie na kawałki pożółkłego pergaminu, które cały czas trzymał w swoich drżących od zimna dłoniach. Robił to jednak ostrożnie, tak jakby bał się je pokruszyć.

Jeden dokument napisany był odręcznie, bardzo nieczytelnym pismem. Drugi natomiast miał już bardziej formalny format oraz był przyozdobiony pieczętą, z której farba delikatnie już schodziła.

Tristan, odkąd pamiętał, mieszkał w sierocińcu, ponieważ właśnie tam jako małe dziecko się znalazł. Prosto spod jego drzwi. Wychowywał się wraz z innymi dziećmi, które tak jak on z różnych przyczyn zostały porzucone. Sam nie pamiętał swoich rodziców, nie posiadał nawet ich zdjęć. A jednak testament wskazywał na to, że chłopak odziedziczył po nich posiadłość. Dom, którego praktycznie nie pamiętał. Kończąc pełnoletność, został zaproszony do prawnika. Dowiedział się tam wszystkiego, nie tylko o testamencie, ale również czegoś o swoich rodzicach. Dostał czas na spakowanie się i opuszczenie bram sierocińca. Od tej pory miał radzić sobie sam. Przynajmniej tak mówili mu wychowawcy.

Po krótkiej przerwie nastolatek ponownie ruszył przed siebie, aby nie zmarznąć jeszcze bardziej. Jasne kosmyki jego włosów poruszały się na zimnym wietrze, a policzki przybrały bardziej czerwony, gdyż wiał silny wiatr. Plecak na jego ramionach stawał się coraz cięższy. Po kilkugodzinnej wędrówce, był wyraźnie zmęczony, mimo że miał w bagażu tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

Las, w którym się znajdował od paru godzin w końcu zaczął się kończyć, odsłaniając kawałek solidnej bramy. Stojąca nieopodal lampa oświetlała ją swoim słabym blaskiem, a bezchmurne niebo wyraźnie odsłaniało pełnię księżyca. Chłopak niepewnie złapał za klamkę, a ciche, charakterne kliknięcie rozległo się w mechanizmie zamka, otwierając bramę bez potrzeby dodatkowego klucza. Wszedł powoli, rozglądając się ciekawie.

Ku jego zaskoczeniu posiadłość była dość sporych rozmiarów. Sam dom wydawał się mieć z dwa piętra, a zewnętrzne ściany budynku były pokryte szarą farbą, która już dawno straciła swój właściwy odcień.

Ścieżka wyścielona kamieniami prowadziła do betonowych schodów, a na samym jej końcu, centralnie przed chłopakiem, stały zdobione, masywne drzwi. Całości dopełniał ogród, który wzbudzał największy zachwyt. Krzaki czerwonych róż wyróżniały się najbardziej wśród lilii czy goździków. Najbardziej jednak Tristana zaskoczył fakt, że ogród był w pełni zadbane. Krzewy nie były zniszczone, a kwiaty pięknie się rozwinęły. Ogród oczarował chłopca... „jakby tu jeszcze ktoś nadal mieszkał i o niego dbał” pomyślał Tristan.

Nastolatek po dłuższej chwili skierował się do głównych drzwi. Wszedł po schodkach i sprawdził raz jeszcze list od rodziców. Według ich instrukcji w doniczce z paprotką powinien być klucz. Tylko, że nie było w pobliżu doniczki, ani żadnego klucza. Pewnie - myślał dalej chłopak - drzwi są otwarte. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej pociągnął za gałkę. Ostrożnie przekręcił ją, a drzwi otworzyły się od razu. Poczuł w dłoni chłód lodowatego metalu. Wziął głęboki wdech i otworzył szerzej, wchodził powoli do środka.

W holu było zdecydowanie zimniej niż na zewnątrz. Chłód pomieszczenia uderzył chłopaka tak, że poczuł rozchodzący się po jego ciele dreszcz. Czuł, jak dostaje gęsiej skórki, a włosy na skórze stają dęba. Tristan wziął głęboki wdech i rozejrzał się po pomieszczeniu, próbując przyzwyczaić swój wzrok do ciemności.

Zamknął za sobą drzwi wyjściowe i wszedł w głąb pomieszczenia. Ciekawie się rozglądając wokół, skierował kroki w stronę schodów. Chciał zobaczyć piętro domu. Z każdym kolejnym jego krokiem drewniane deski wydawały z siebie ciche skrzypienie. To jednak nie odstraszyło chłopaka, jego ciekawość wzrastała.

Pierwsze piętro wydawało się być bardziej przytulne niż parter. Ściany korytarza były pomalowane na metalowy odcień, a na nich widniały przeróżne obrazy. Podłoga natomiast została wyściełana długim dywanem. Tristan poczuł, że robi mu się trochę cieplej.

Zostawił plecak przy ścianie i złapał za klamkę, aby je otworzyć. Niestety te drzwi były zamknięte. Złapał za kolejną i również bez skutku. Drzwi ani drgnęły.

Już miał się poddać, gdy w końcu jego uwagę przykuły uchylone kolejne drzwi, które znajdowały się na końcu korytarza. Był prawie pewien, że reszta pomieszczeń jest pozamykana, dlatego zdecydował się pójść w ich kierunku, uprzednio zabierając swoje rzeczy. Nie chciał później niepotrzebnie się wracać.

Uchylił szerzej drzwi, aby móc wejść do środka. Uwagę chłopaka przykuło duże łóżko, stojące na samym jego środku. Wyglądało ono na masywne, wykonane z ciemnego drewna z licznymi, szczegółowymi zdobieniami. Pościelone ono było narzutą oraz sporej ilości poduszek, jakby było przygotowane dla znakomitego gościa. Pokój był zdecydowanie dużo większy od tego, który musiał dzielić z innymi chłopakami w sierocińcu. Pomieszczenie mimo swojego starodawnego wystroju wydawało się być całkiem przytulne. Ściany w kolorze brudnego beżu zdecydowanie prosiły się o odświeżenie, a dywan pod stopami zdawał się być miękkim i ciepłym. Delikatny zapach kadzidła unosił się w powietrzu, dodając swoistego klimatu. Na jednej ze ścian wisiał obraz, a obok niego stało biurko, które oświetlało światło księżyca padające przez małe, wąskie okno z naprzeciwka.

Nastolatek podszedł bliżej biurka, na którym stała lampa naftowa. Zapalił ją i zwrócił się w stronę obrazu, aby móc mu się przyjrzeć. Obraz przedstawiał dwie sylwetki. Pierwszą z nich był mężczyzna o czarnych włosach. Obejmował on niższą od siebie blondynkę, która trzymała w rękach małe zawiniątko. Tristan dostrzegł w kobiecie uderzające podobieństwo do siebie. Ten sam kształt nosa, ust. Kolor oczu jednak zgadzał się z tym u mężczyzny. Obraz musiał przedstawiać jego rodziców. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Stojąc tak w ciszy nagle poczuł na sobie czyjś wzrok. Jakby był przez kogoś obserwowany. Chłopak odwrócił się, jednakże nikogo nie dostrzegł. O dziwo w pomieszczeniu przebywał sam. Czuł, jednak jak po całym jego ciele przeszedł mu dreszcz, a serce zaczyna bić szybciej. Powoli tracił uczucie spokoju.

Ponownie spojrzął na obraz, mocniej chwycił lampę w dłoni. Uczucie, że jest obserwowany nadal mu towarzyszyło, a w pomieszczeniu zrobiło się zdecydowanie chłodniej. Jakby ktoś postanowił nagle otworzyć okno. Niespodziewanie został popchnięty i brutalnie przyciśnięty do ściany. Uścisk był na tyle mocny, że nie był w stanie się ruszyć, mimo prób, które szarpania się, wszystko na marne.

Chłód, jaki mu towarzyszył najbardziej był wyczuwalny na szyi chłopaka. Chciał się odezwać, powstrzymać napastnika, ale nie był w stanie wydusić z siebie nawet słowa. Jego ciało było praktycznie nieruchome pod wpływem silniejszej ręki, która trzymała mocno za szyję Tristana.

Po chwili poczuł ból w karku, co bardzo go zdenerwowało. Ból, który w ułamku sekundy przeszył całe jego ciało. Jakby ktoś wbił w jego skórę ostre igły. Ciało Tristana zostało sparaliżowane. Nie był w stanie się poruszyć, obronić się. Przez silny ból zrobiło mu się ciemno przed oczami, a po dłuższej chwili drobne ciało chłopaka upadło bezwładnie na podłogę. Chłopak stracił przytomność.

Nagle, ocknął się. Ściany salonu delikatnie muskał cień płomieni tańczących w rozpalonym kominku, tworząc przy tym ciepłą atmosferę. Tristan uświadomił sobie, iż leży na kanapie i jest przykryty miękkim, miłym w dotyku kocem. Po paru minutach otworzył oczy. Jego powieki zdawały się być ciężkie. Czuł jak dalej ogarnia go senność, ale w końcu przemógł się i spojrzał przed siebie. Nie wiedział ile spał i jak się tu znalazł. Dalej był w jak w transie, próbując sobie przypomnieć co się stało. W głowie pulsowało mu niemiłosiernie, a ból w szyi dalej nie ustępował. Sam praktycznie nic nie pamiętał. Przez strach jaki mu towarzyszył nie mógł przypomnieć sobie poprzednich zdarzeń.

Nie chciał tak dłużej leżeć, w końcu zmusił się, żeby usiąść. Powoli zaczął się podnosić.

— Obudziłeś się, księżniczko? — zapiszczał zimny, przenikliwy głos roznosząc się dalej po salonie. Po ciele chłopaka przeszedł dreszcz. Nie był sam. Tym razem mógł być tego pewny.

Nastolatek powoli odwrócił się za siebie, a jego zielone spojrzenie zwróciło się prosto w stronę fotela stojącego nieopodal kominka. Przez chwilę myślał, że się przesłyszał, ale nie. Przetarł swoje oczy, zamrugał nimi i zmrużył ponownie, tak jakby lepiej zobaczyć postać, która do niego mówiła. Był pewny, że ktoś go obserwuje i teraz przekonał się, że miał rację.

Sylwetka mężczyzny siedzącego w fotelu była praktycznie nieruchoma. Jego noga z gracją została zarzuconą na tę drugą. Nieznajomy był skupiony na tym, co trzymał w ręku. A były to kartki pożółkłego pergaminu. Takie same, jak te należące do Tristana.

Chłopak siedzący na kanapie przełknął ślinę i wziął głęboki wdech, aby móc zebrać się na odwagę i w końcu się odezwać. Widział, że nieznajomy czytał dokument, który zdecydowanie nie należało do niego.

— Przepraszam, ale... to nie jest przypadkiem... moje? — wydusił z siebie cicho. Głos mu drżał ze strachu. Mężczyzna naprawdę wyglądał groźnie, nie wspominając już o tym, że Tristan nie był olbrzymem.

Para brązowych, chłodnych oczu zwróciła się w jego stronę. Nieznajomy podniósł się z miejsca, a długi płaszcz opadł swobodnie wzdłuż jego ciała. Przeczesał swoje czarne jak smoła włosy i ruszył powoli w jego stronę ciężkim, głośnym krokiem. Zatrzymał się przed nim, nie spuszczać z niego wzroku. Intensywnie mu się przyglądał dłuższą chwilę, by za moment rzucić:

— Tristan Anderson? uważnie przy tym skanując wzrokiem postać chłopaka. Zaskoczeniem był fakt, że nieznajomy delikatnie się uklonił:

— Cóż za zaszczyt... gościć samego właściciela na moim terytorium, aczkolwiek.... Nie uważasz, że... jesteś tutaj obcy? — dodał, przechodząc obok niego.

— Tak się składa, że mieszkam tu zdecydowanie dłużej niż ty.

Chłopak przełknął ślinę, widząc, jak mężczyzna go obserwuje. Spuścił wzrok, bojąc się powiedzieć cokolwiek. Głos nieznajomego był praktycznie bez emocji i zdawał się go przeszywać na wylot jak cios sztyltem.

— Ja... — zawahał się Tristan lecz nie dokończył. Jego słowo zostało przerwane przez dwa zimne palce, które złapały jego podbródek, unosząc go w taki sposób, by mógł zachować z nim kontakt wzrokowy. Brązowe oczy mężczyzny uważnie obserwowały twarz chłopca, nie mając zamiaru go puścić.

— Nie nauczyli cię przypadkiem, że wypada patrzeć na osobę, z którą rozmawiasz? — spytał, przyszywając swoją twarz bliżej — Powinieneś wiedzieć takie rzeczy, prawda? To wyraża szacunek do drugiej osoby — odparł, po czym nagle puścił go i odsunął się, aby móc kontynuować swoją wypowiedź.

— W każdym razie nie podoba mi się to, że ktoś nieproszony postanowił wtargnąć na moje terytorium. Ja tu teraz mieszkam, rozumiano? Dlatego daję ci możliwość opuszczenia go dobrowolnie, bo w przeciwnym razie będę zmuszony cię zabić.

— Kim ty w ogóle jesteś, żeby decydować o tym, co mam robić!? — chłopak zebrał się na odwagę, aby móc się postawić. Zrzucił z siebie koc i podniósł się na własne nogi — Ten dom to jest jedyna rzecz, jaka pozostała mi po rodzicach. A ty bawisz się we właściciela, bo mieszkasz tu dłużej? Jakim prawem tak uważasz. Myślisz, że masz prawo mnie stąd wyrzucić? To ty powinieneś się stąd wynieść. To mój dom!

Mężczyzna obserwując go zaśmiał się kpiąco, podchodząc bliżej niego. Bez zastanowienia złapał go za kark i wbił jego ciało w kanapę, pochylając się nad nim.

— Chciałbyś wiedzieć, kim jestem? — rzucił rozbawiony, patrząc na niego chłodnym wzrokiem. Pochylił się i przysunął się bliżej jego ucha.

— Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewny, złotko. Może najpierw sprawdzisz, co masz na szyi? Mam nadzieję, że spodoba ci się mój prezent powitalny. A dopiero później myśl, z kim masz do czynienia, słoneczko. Bo raczej nie wydaje mi się, że chciałbyś zaczynać ze mną wojny, która byś przegrał, nieprawdaż? A może... mam cię zabić tu i teraz, skoro tak bardzo chcesz się upierać przy swoim, hm? — mruknął mu do ucha, po czym złapał jego dłoń i delikatnie ucałował jej wierzch.

- Mów mi Lysander, księżniczko — oznajmił, przedstawiając się — Niesamowite uczucie poznać swojego oprawcę, zanim zostaniesz przez niego zjedzony, mam rację? — mówiąc to, puścił mu przelotnie oczko i odsunął się od niego. Przeczesał dłonią swoje ciemne włosy, spoglądając na niego dość uważnie.

— Wydajesz się być ciekawą istotą Tristan. Twoja wcześniejsza postawa nie wskazywała na to, że się mnie boisz, a teraz widzę strach w twoich oczach. Jakież to zabawne. Wyglądasz jak przestraszona mysz. Co jednak powiesz, żebyśmy poszli na kompromis? Mam dla ciebie parę propozycji. Skoro żaden z nas nie chce stąd wynieść, to musimy się jakoś dogadać, prawda?

Tristan przez ten czas słuchał jego słów przerażony. Na wspomnienie słów o nietypowym „prezencie” niepewnie, drżącą dłonią dotknął ostrożnie swojego śladu na szyi. Rany były jeszcze świeże, dlatego zaczęły go szczypać, jak tylko jego mokre od potu palce dotknęły rozdartej skóry. Jedynie co był teraz w stanie wyczuć, to były dwie małe ranki wilgotne od krwi.

— C-co ty mi zrobiłeś...? — wydusił, wyczekując jak najszybciej odpowiedzi.

Lysander na jego słowa prychnął rozbawiony i śmiejąc się odparł:

— Ja? A co mógłbym innego zrobić? Wykorzystałem okazję, aby móc skonsumować swój posiłek. Hahaha...Byłeś tak niewinny i bezbronny, że tylko głupi by nie skorzystał — mruknął wampir, odwracając niewinnie swój wzrok, oblizując przy tym wargi.

Oczy Tristana rozszerzyły się, gdy spojrzał przerażony na mężczyznę. Przysunął się bardziej do oparcia kanapy, szukając bezpiecznego miejsca, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że nie jest bezpieczny. Nie był głupi. Domyślił się z kim ma do czynienia. O kimś takim jak wampir słyszał tylko w legendach. A jednak jeden z nich stał przed nim w postaci Lysandera i to w pełnej okazałości. A mało tego stawiał mu warunki w jego własnej posiadłości.

Tristan wziął głęboki wdech i zwrócił niechętnie swój wzrok na wampira.

- Co... miałeś na myśli mówiąc o... propozycji? — spytał jeszcze drżącym głosem. Nie mógł opanować strachu i drżenia głosu. Bał się go. Bał się, że wampir po tym wszystkim faktycznie zrobi mu krzywdę, a nawet mógłby go zabić!

Ku jego zdziwieniu Lysander ... uśmiechnął się. I zdecydowanie nie był to uśmiech, który miał uspokoić nastolatka.

— Chcę dać ci swobodny wybór, który zdecyduje o tym, co dalej — odparł, podchodząc bliżej.

— Skoro żaden z nas nie jest skłonny do opuszczenia posiadłości, musimy znaleźć rozwiązanie prawda? Ale to nie jest problem, skoro możemy żyć w zgodzie i zamieszkać tu we dwoje jako współlokatorzy. Jesteś właścicielem, więc masz pełne prawo tu być, jednakże... ja również nie mam zamiaru opuszczać tego miejsca. Dlatego jeśli chcesz żyć, to musisz pozwolić mi tu zostać, w przeciwnym razie... Będziesz musiał pogodzić się, że umrzesz! Ewentualnie możesz jeszcze dobrowolnie opuścić to miejsce bez obawy, że coś ci zrobię. Wątpię jednak, że na tą ostatnią opcję się zgodzisz...

To jak? Jaka jest twoja ostateczna decyzja? — spytał, pozwalając, aby jego brązowe tęczówki nabrały bardziej ciemnego, krwistego koloru.

Tristan patrzył oszołomiony. Słowa wampira sprawiły, że miał mętlik w głowie. Nie wiedział, co powinien zrobić. Która opcja będzie właściwa. Z jednej strony bał się wybrać jakąkolwiek bojąc się, że ten nie dotrzyma słowa. Odejście również nie wchodziło w grę. Był właścicielem mieszkania, miał prawo tu przebywać, a jednak mężczyzna wzbudzał w nim strach. Z drugiej strony... poczuł, że chciałby poznać Lysandera bliżej. Mężczyznę, który mimo swojej zimnej aury coraz bardziej przyciągał jego uwagę niczym magnes, jak tajemnica, coś czego nie można było pojąć, osiągnąć.

Światło księżyca oświetlało krzewy czerwonych róż, które były wyłaniały się przez duże, lecz wąskie okno w salonie, ukazując swoje nieskazitelnie piękno, a ciepło kominka rozpełniało się po całym pomieszczeniu, tworząc nie tylko spokojną i przytulną, ale również nieco napiętą atmosferę. W szczególności między dwoma różnymi światami...

Martyna Szyguła kl. 3a LO

Zimowy rodzinny wyjazd

Kiedy przez większą część dnia zastanawiam się nad czymś bardzo mocno to często jest tak że wieczorem nie mogę zasnąć, a jak już mi się uda to moje sny są bardzo rzeczywiste. Od dłuższego czasu planowaliśmy zimowy wyjazd samolotem w góry do Włoch. Jak termin wylotu zaczął się zbliżać nieustannie moje podekscytowanie brało górę. Co raz częściej nie mogłam zasnąć wieczorami, a w nocy śnił się wymarzony wyjazd na który

czekaliśmy od wiele miesięcy. Dzień przed naszym wylotem w Sosnowcu były tak mocne i intensywne opady śniegu, że drzewa nie wytrzymały obciążenia naporu mokrego śniegu i zaczęła uszkadzać inie elektryczne. To była połowa grudnia, więc ciemno robiło się już po 15.00. Zdążyliśmy się spakować, aż tu nagle w naszym domu nagle nastąpiła przerażająca ciemność i okropna cisza. Wszystkie urządzenia zalane na prąd zamilkły. Wyjechałam przed dom i na mojej ulicy było zupełnie ciemno. Jedną poświatę dawał mocno padający śnieg. Zapaliliśmy świeczkę i przy jej blasku siedziałam i czekałam, aż zasilanie zostanie przywrócone. Godziny, minuty dłużyły się w nieskończoność. Za oknem było słychać mocny gwizd wiatru, a w moim domu była jedna wypalająca się świeczka. Z każdą godziną w domu robiło się bardziej mrocznie i chłodno. Po godzinie 22.00 byłam już tak bardzo zmęczona, że postanowiłam się położyć bo wiedziałam że, muszę być wypoczęta przed jutrzejszym wylotem. Wiedziałam, że nie jestem w stanie nic zrobić i nie mam żadnego wpływu na to kiedy prąd zostanie przywrócony. Nagle w środku nocy obudził mnie dziwny dźwięk wydobywający się z garażu który był przed moim domem. W domu było zupełnie ciemno i zimno z powodu awarii zasilania. Postanowiłam się nakryć kołdrą i zasnąć, ale dziwny dźwięk jakby zamieniał się i był słyszalny na moim poddaszu. Cała ta sytuacja zaczęła mnie przerażać. Analizowałam w mojej głowie co to może być, ale nic racjonalnego mi nie przychodziło do głowy. W pewnej chwili wydawało mi się że odgłosy ustały. Naciągnęłam kołdrę na głowę i zasnęłam. W pewnym momencie obudził mnie dziwny trzask, za chwilę stukanie i dziwne uderzania tak jakby coś kołysało moim łóżkiem. Byłam przerażona, moje serce biło jak szalone. Spojrzałam na zegarek i była druga w nocy, w pewnej chwili usłyszałam na poddaszu, że ktoś próbuje otworzyć moje okno, miałam najgorsze myśli w głowie, a na dodatek mój telefon się wyładował. Z przerażeniem pomyślałam że nie będę nawet w stanie wezwać pomocy. Nagle ogromny trzask i ryk silnika spalonego, w tym momencie nie byłam w stanie zejść z łóżka bo moje nogi były jak z waty. Ogarnęła mnie panika, jedną rzeczą która przyszła mi do głowy to że włamywacze wykorzystują brak prądu i wchodzi do mojego domu. Po chwili mój tata ściąga mi opaskę nocną z oczu i mówi Julka budzimy się – lądujemy we Włoszech, cały lot przespałaś jak zabita. Nie mogłam dojść do siebie jeszcze przez parę minut mój sen był tak realny, że aż nie do wiary.

Julia Sekunda kl. 4a LO

Coś...

Był ciemny, ciemny las. W tym ciemnym, ciemnym lesie stały ruiny zamczyska, a w tym zamczysku... panowała cisza tak gęsta, która pochłaniała każdy najmniejszy nawet dźwięk. Stare mury porastał mech, a zimny wiatr przeciskał się przez popękane kamienie wywołując przeciągłe żalosne jęki. Nikt nie zbliżał się tu po zmroku, bo mówiono, że po korytarzach ruin błąka się coś, co nigdy nie powinno ujrzeć światła dnia. Tego wieczoru jednak ktoś przekroczył krzywe, zardzewiałe wrota. Był to niepozorny chłopak, który wrócił ze szkoły później niż zwykle i wybrał skrót przez las, choć wszyscy odradzali tę drogę. Na imię miał Marek i chciał tylko szybko dotrzeć do domu, lecz gdy zobaczył zamczysko, coś w nim drgnęło. Jakby niewidzialna siła pociągała go w stronę ruin. Marek postawił pierwszy krok w środku i wtedy usłyszał to ciche stukanie. Jakby ktoś palcami bębnił w kamienną ścianę.

Raz

Dwa

Trzy

Chłopak zatrzymał się, wstrzymał oddech. Stukanie ucichło ale tylko na chwilę. Po kilku sekundach dobiegło go z zupełnie innego miejsca, jakby coś przemieszczało się po ruinach kryjąc się w ciemnościach. Marek poczuł zimny dreszcz na karku. Wtedy... zza zawałonej kolumny wyłoniła się delikatna smuga światła, chociaż na niebie nie było ani księżyca ani gwiazd. Marek pędził przez las, nie oglądając się za siebie. Szept ucichł dopiero wtedy, gdy wybiegł na skraj polany. Zadyszany, zatrzymał się i spojrzał w stronę ruin. Smuga światła stała w bramie zamczyska. Nie ruszała się, tylko jakby patrzyła. A potem powoli zgasła, jakby nigdy jej nie było. Marek wrócił do domu ale od tamtej nocy co wieczór tuż przed snem, słyszał ciche, znajome stukanie w ścianę

Raz

Drugi

Trzeci

Blanka Łaskawiec kl. 2b LO

Cisza nad Ciernistą Przełęczą

Mgła spadała z gór jak ciężka zasłona, oplatając drogę prowadzącą w głąb doliny. Szedłem nią powoli, bo widoczność była tak słaba, że ledwo widziałem własne buty. Powietrze było lodowate, a każdy mój krok odbijał się echem od skalnych ścian. W okolicy nie było żywej duszy, choć zdawało mi się, że co chwilę słyszę za sobą szept lub szelest. Mimo że, próbowałem się uspokajać, czułem jak moje serce bije coraz szybciej.

Tego wieczoru miał po mnie przyjechać mój kuzyn, ale nie dotarł. Zerwała się burza, droga została zasypana kamieniami i jedynym wyjściem było przejść piechotą Ciernistą Przełęczą. Wiedziałem, że tuż za nią znajduje się wioska, z której miałem już blisko do domu. Problem w tym, że po drodze stały ruiny starego klasztoru, a dalej – zamek Czarnej Skały. Miejsca, o których w okolicy mówiono rzeczy, od których włos jeżył się na głowie.

Kiedy przeszedłem przez drewniany mostek, mgła nagle się przerzedziła. Przede mną wyrósł klasztor. Wielki, kamienny, z zapadłym dachem i wieżą, która wyglądała jakby lada chwila miała runąć. Okna były puste, ciemne, a wokół budowli rosły powykęcane drzewa. Kiedyś musieli tu mieszkać zakonnicy, ale od lat miejsce było opuszczone.

Zatrzymałem się, bo zobaczyłem w jednym oknie błysk światła. Delikatne, drżące światło świecy.

— Niemożliwe — szepnąłem sam do siebie.

Mój oddech zamienił się w białą parę. Światło migotało przez chwilę, po czym zniknęło, jakby ktoś zgasił świecę jednym dmuchnięciem. Poczulem, jak po plecach przebiega mi dreszcz.

Przyspieszyłem kroku, zostawiając klasztor za sobą. Miałem nadzieję, że im szybciej stąd wyjdę, tym lepiej. Droga wiła się między drzewami, a cisza była tak gęsta, że słyszałem własne tętno. Niebo zasnuło się chmurami, więc nawet księżyc nie oświetlał ścieżki.

Nagle, spośród mgły, wysunęły się mury zamku Czarnej Skały. Bryła budowli była potężna i przytłaczająca. Wieże piły się ku niebu niczym gigantyczne palce, a ruiny murów otaczały dziedziniec, na którym zalegała gruba warstwa liści. Wiedziałem, że dawno temu mieszkała tu bogata rodzina von Hartenów. Jednej nocy jednak cała zniknęła – bez walki, bez śladów włamania, bez ciał. Służba twierdziła, że po zamku chodziły „cienie”. Nikt nie chciał uwierzyć, dopóki kolejne osoby nie zaczęły znikać w okolicy.

Gdy mijałem ogromną bramę zamku, usłyszałem metaliczny zgrzyt, jakby zawiasy drgnęły pod ciężarem jakiejś niewidocznej siły. Zamarłem. Brama powoli uchyliła się na kilka centymetrów.

— To tylko wiatr — próbowałem się uspokoić.

Ale nagle coś stuknęło wewnątrz dziedzińca. Jeden krok. Drugi. Trzeci.

Zacząłem iść szybciej, prawie biegiem, nie oglądając się za siebie. Kiedy poczułem, że oddalam się od zamku, natychmiast zwolniłem. Przede mną stała stara, masywna posiadłość, której wcześniej nie zauważyłem. Była częściowo zasłonięta mgłą i drzewami. Okna miały powybijane szyby, a drzwi wisiały na jednym zawiasie. Dach zapadł się, odsłaniając mroczne, puste wnętrza.

Mimo to, z wnętrza budynku dobiegały dziwne odgłosy – jakby ktoś przesuwiał ciężki mebel po podłodze. Ciche, powolne tarcie.

— Może to zwierzę — pomyślałem. — Lis, jelonek... cokolwiek.

Dźwięk się powtórzył, tym razem głośniejszy, a potem dobiegło mnie coś, co brzmiało jak szept. Nie rozumiałem słów, ale ton był pełen gniewu. Cofnąłem się automatycznie.

I wtedy ją zobaczyłem.

W jednym z okien pojawiła się twarz. Błada jak kreda, bez brwi, bez włosów. Oczy były czarnymi otworami, w których nie odbijało się żadne światło. Usta były rozchylone, jakby postać próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła wydać głosu. Przez sekundę patrzyła prosto we mnie. Kiedy mrugnąłem, zniknęła.

Poczułem, jak serce wbija się w żebra. Chciałem uciekać, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. I wtedy za plecami usłyszałem ciężki krok. Potem drugi. Kroki były powolne, miarowe, jakby ktoś szedł pewnie, wiedząc, że mnie dogoni.

Wciągnąłem gwałtownie powietrze i odwróciłem się.

Za mną stała postać w poszarpanym habicie. Wyglądała jak mnich, ale przerażało mnie to, że kaptur całkowicie zasłaniał jego twarz. Z rękawów wystawały chude, kościste dłonie. Mnich podniósł jedną z nich i powoli wskazał stary dom.

— Nie wchodź tam... — wyszeptał.

Głos był ochrypły, jakby ktoś mówił po latach milczenia. Chciałem zapytać, kim jest, ale mgła nagle zgęstniała, zasłaniając wszystko jednym białym tumanem. Kiedy się rozstąpiła, mnicha już nie było.

Stałem chwilę oszołomiony, zastanawiając się czy nie zwariowałem. W końcu ruszyłem dalej drogą, która powinna prowadzić do wioski. Jednak po kilku minutach marszu zauważyłem coś przerażającego – ścieżka nie prowadziła już w dół doliny. Znowu byłem na podjeździe starego domu.

Drzwi stały otworem.

— Nie... to niemożliwe — jęknąłem.

Chciałem się odwrócić, ale w tej samej chwili drzwi skrzypnęły szerzej, jakby zapraszały mnie do środka. Z wnętrza wydobył się zimny podmuch i cichy, przeciągły jęk. Nagle poczułem, że coś za mną jest. Oddech. Chłodny, powolny.

Odwróciłem się gwałtownie – nikogo.

Jęk powtórzył się, tym razem wyraźniejszy. Dochodził z wnętrza domu. Miał w sobie coś błagalnego, jakby ktoś cierpiał i prosił o pomoc.

Wbrew logice, wbrew rozsądkowi, zrobiłem krok w stronę wejścia. Pod moimi nogami skrzypnęła zbutwiała deska. Wewnątrz panował półmrok, a na ścianach widniały stare obrazy ludzi o poważnych twarzach, jakby wszyscy patrzyli wprost na mnie. Światło księżyca wpadało przez dziurę w dachu, oświetlając środek korytarza.

Wtedy zauważyłem coś jeszcze.

Na podłodze ciągnął się ślad. Długi, ciemny, jakby ktoś przeciągał coś ciężkiego albo... zostawiał za sobą smugę krwi. Ślad prowadził w głąb domu, do zamkniętych drzwi na końcu korytarza.

Drzwi zaczęły drżeć, jakby ktoś po drugiej stronie szarpał za klamkę.

Raz.

Drugi.

Trzeci.

Nagle zatrzymały się. Cisza. Martwa, niepokojąca.

Już miałem uciec, kiedy drzwi powoli uchyliły się same.

A w szczelinie... pojawiła się ta sama blada twarz.

— Pomóż mi... — wyszeptwała.

I w tej chwili zrozumiałem, że **nie jestem tu przypadkiem**. Że ktoś – lub coś – zaprowadziło mnie do tego miejsca. I że jeśli teraz odwrócę się i ucieknę, to i tak *znajdzie sposób, by mnie odnaleźć*.

Wojciech Dziak kl. 3d LO

Zamek na wrzosowisku

Na północy Wielkiej Brytanii, znajdowało się kiedyś miasteczko Ivyham oraz pobliska wieś Ravenville. Były to miejsca ciche i odludne, raczej mało ludzi wiedziało o istnieniu tych miejscowości, ale zyskały nagłą popularność poprzez wypadek, który wstrząsnął całym krajem.

W dzień okolica Ivyham spowita była nieprzeniknioną mgłą, przez którą zamek wyglądał jak kolczasta pułapka czekająca na ofiarę, zaś w nocy, gdy miejsce zanurzało się w ciemności, posiadłość była niby przystanią do której dobić mogli zagubieni podróżni, ciepłe światło świec wabiło ich bliżej, aby podeszli i odpoczęli w ciepłych komnatach, ale większość z nich nie ośmieliła się nigdy wejść do środka.

Ravenville miało złą sławę pośród miejscowych, krążyły w małych społecznościach legendy o wampirach zamieszkujących najwyższe wieżyczki, duchach nawiedzających wrzosowisko o północy, o okropnym potworze żyjącym w jamie pod jednym ze wzgórz, o tajemniczym mordercy, który ukrywa się w lochach zamczyska...

Wiele takich opowieści krążyło pośród ludzi, niektóre miały w sobie ziarno prawdy, a inne były wymyślone, aby oczernić poprzedniego właściciela zamku czyli Wilhelma Ravenville, który uważany był jednogłośnie za skąpca, człowieka bezwzględного i okrutnego. Po wsiach krążyły plotki, że każdy chłop, jakiego zatrudnił do siebie na rolę przychodził do domu z ranami, a po kilku miesiącach znikał bez śladu.

Terror Wilhelma zakończył się tragicznie, właściciel został zaatakowany przez wściekłego jelenia, ludzie twierdzą, że ciało Ravenvilla znaleziono aż pod płaczącą wierzbą rosnącą nad jeziorem, oddalonym od posiadłości o około pięć mil. Miał mnóstwo ran kłutych oraz fragmenty poroża jeleniego w ciele, podczas sekcji odkryto obecność trucizny w organizmie.

Niefortunny wypadek ściągnął uwagę okolicznych miast na ową posiadłość, przychodzili policjanci, lecz nic nie odkrywali. Nawet nie wchodzili głębiej w zamek, coś na pewnym etapie ich odstraszyło i skutecznie powstrzymało od dokończenia sprawy.

Wreszcie, wieści o Ravenville dotarły aż do Londynu, gdzie wywołały spore poruszenie pośród ludzi. Niektórzy pojechali specjalnie na północ Wielkiej Brytanii aby zobaczyć z daleka ową posiadłość.

Swoją pomoc w sprawie zaoferowała, jedyna na całe wyspy Brytyjskie kobieta detektyw, Astrid Ockham. Zrobiła to pomimo ostrzeżeń tamtejszych oficerów policyjnych,

którzy błagali ją aby tego nie robiła, tłumaczyli jej, że tam zdarzyło się coś ponadnaturalnego. Ale ona nie usłuchała ich i zgodziła się pomóc Ulissesowi – synowi Wilhelma.

Przyjechała na miejsce tydzień po morderstwie, obiecała, że będzie wcześniej, lecz nagły rozwój innej sprawy, którą miała zatrzymał ją w Edynburgu, mieście, w którym mieszkała, kilka dni dłużej. Wysiadła z pociągu na stacji Northern Ivyham, natychmiast zauważył ją woźnica bryczki należącej do Ravenillów, podszedł do niej i usłużnie wziął sporą walizeczkę, którą trzymała w ręce. Potem równie usłużnie wziął resztę bagaży należących do niej i zapakował je na półkę pod wygodną ławeczką obitą krwistoczerwonym materiałem. Astrid weszła do bryczki bez pomocy stangreta i usadowiła się na owej ławce, zgarniając rękami fałdy szarej sukni. Stangret zaciął konie batem i pojazd ruszył glinianą drogą Ivyham. Po bokach rosły opadłe z liści drzewa, których gałęzie wyglądały jak macki potężnych ośmiornic, pomiędzy nimi hulał porywisty wiatr. Gdy wyjechali z miasta, wjechali w gęsty las sosnowy pachnący żywicą i zgniłymi liśćmi, jazda przez ów las była dziwnie długa i obfitująca w przystanki, bo konie nie chciały iść ani kroku dalej, jakby wyczuwały, że zbliżają się do ogniska wszelkich nieszczęść w okolicy. Potem wyjechali na wrzosowisko. Stangret jakby przykurczył się i zmalął na koźle, konie szły jeszcze wolniej niż przedtem. Nawet wiatr przestał wiać i nad ogromnymi połaciami ziemi zapanowała złowroga cisza.

Jedynym niezmiennym i nienaruszonym elementem była sama Astrid, siedząca spokojnie na ławeczce. Obserwowała uważnie otoczenie i przysłuchiwała się stłumionym odgłosom jakie czasami przebijały się przez tłumiącą je mgłę. Atmosfera nie napawała optymizmem, a nawet przerażała. Bezkrzesne połacie roślin ginące we mgle oddziaływały negatywnie na przejeżdżających przez nie ludzi. Dodatkowo słyszeć było dziwne dźwięki, jakby ktoś grał na flecie, ale fałszywie i nieprzewidywalnie, dodatkowo dźwięki były znacznie głośniejsze, niż normalny flet. Przycichły, gdy zjechali ze wzgórza w małą dolinkę.

Zza mlecznej zasłony zaczął wyłaniać się zamek Ravenille, był potężną budowlą z licznymi murkami, odkrytymi przejściami, wysokimi a chudymi wieżyczkami zakończonymi strzelistymi dachami, ściany były grube na dwa metry ale liczne dziury w zaprawie pomiędzy kamieniami przepuszczały zimno w chłodne dni, okna były smukłe, w niektórych miejscach wprawiono przepiękne witraże przedstawiające różnobarwne kwiaty w pełni rozkwitu, zielone łąki oraz stare drzewa, czyli wszystko czego brakowało na wrzosowisku.

Wyglądał tak majestatycznie jak mówili ludzie, oprócz wieżyczek, przejść i murków, miał mnóstwo rzeźb, ornamentów i balkoników.

Stangret zatrzymał bryczkę i zaczął wyjmować bagaże. Potem pobiegł do środka, prawdopodobnie, aby zawiadomić o przyjeździe gościa. Potem główne drzwi otworzyły się

powoli i stanął w nich ubrany na czarno lokaj. Astrid przyglądała fałszywego blond warkocza, którego dopięła, aby lepiej wyglądać i weszła po pięciu stopniach na tarasik przed drzwiami.

- Witam – powiedział lokaj wyuczonym tonem – proszę wejść. Pan Ulisses za chwilę do panienki zejdzie.

Usiadła na taboreciku przy wygaszonym kominku i obserwowała nielicznych służących przemykających przez główny hall. Gdy znudziło jej się obserwowanie ludzi, postanowiła przyjrzeć się wystrojowi. Ściany willi obłożone zostały drewnianymi deseczkami innymi niż podłoga, na której znajdował się spory czerwony dywan, światło zostało głównie zapewnione przez świecek poustawiane na meblach, bądź w kandelabrach na ścianie. Okno było tylko jedno, nad drzwiami i na dodatek miało w sobie witraż przedstawiający pracujących na roli chłopów. Z sufitu zwieszał się kryształowy żyrandol, mieniający się niesamowicie w nikłym świetle wydawanym przez świecek. Na ścianach wisiały obrazy poprzednich Ravenvillów, wszyscy byli ponurzy, brzydzy i nieco zezowaci. Największy był portret wiszący pomiędzy rozchodzącymi się schodami. Przedstawiał jakiegoś chudego pana z siwymi włosami zaczesanymi do tyłu, w okropnie wyglądającej bordowej marynarce, z cienkim, czarnym wąsikiem idealnie podkreślającym wydatny nos jegomościa. Podpis głosił, że to Wilhelm Ravenville, główny powód, dla którego tu przyjechała.

Po chwili wrócił lokaj, na jego posępnej twarzy widać było smutek i zmartwienie.

- Pan źle się czuje – westchnął – mówi, że jutro będzie lepiej...

- Życzę szybkiego powrotu do zdrowia – odpowiedziała – myślę, że jutro i on i ja będziemy bardziej wypoczęci i zdolni do działania.

- Więc zaprowadzę panienkę do pokoju. Obiad jest o piętnastej trzydzieści – poinformował ją i natychmiast przeszedł do wykonania swojej pracy.

Wszedł na schody, potem skręcili w lewo, w obszerny korytarz wyłożony czerwonym dywanem, z gobelinami i obrazami na ścianach. Panowała tam reguła: drzwi – obraz – komódka – lustro – drzwi – gobelin – komódka – drzwi. Ściany były obłożone panelami z ciemnego drewna do wysokości metr czterdzieści, a wyżej położona była czerwona tapeta w różane kwiaty. Skręcili do czwartych drzwi na prawo i oczom Astrid ukazał się średni pokój z dwoma dużymi oknami witrażowymi, seledynowymi ścianami, łóżkiem z ciemnego drewna z pasującą do pokoju pościelą. Pod oknem stał sekretarzyk oraz dwa czarne fotele, obok była szafa z kwiatowymi ornamentami oraz biblioteczka całkowicie pozbawiona książek oprócz jednej książki: „Frankenstein” Lokaj wyszedł z pokoju nie zamykając drzwi, widocznie musiał być bardzo rozkojarzony. Astrid usiadła w fotelu, plecami do łóżka, bokiem

do okna i zamyśliła się głęboko nad wiadomościami, które otrzymała w liście od Ulissesa. Z zawodem stwierdziła, że Ivyham i okolice Ravenville są bardziej martwe, niż to sobie wyobrażała. Myślała, że cały obszar od miasteczka do zamku będzie pokryty lasem, co utrudniłoby jej śledztwo, nastawiała się na naturalne trudności. Spojrzała na zegar zawieszony przy szafie, była dwunasta. Wstała z fotela i wyjęła z walizki pelerynę. Założyła ją i wyszła z pokoju. Po opuszczeniu terenu zamku, wyruszyła na długi spacer zamglonym wrzosowiskiem. Jednym z kilku celów tego spaceru było zidentyfikowanie odgłosów, które słyszała jadąc tutaj. Wróciła na wzgórze, gdzie słyszała dziwną muzykę i zaczęła rozglądać się dokoła siebie. Po chwili dźwięki powróciły i znowu zaczęły wygrywać swoją dziką melodię. Poszła w kierunku, z którego dochodziły, lecz nic nie znalazła, bo dźwięk nagle zaczął dochodzić z innej strony. Znowu za nim poszła, ale ponownie dała się oszukać ich zwodniczej sile. Wróciła na szczyt i zrezygnowała z prób ustalenia dźwięku, wystarczy na dziś -pomyślała. Obiecała sobie, że, gdy dowie się podstawowych informacji na temat sprawy, dogłębnie zajmie się i tym zjawiskiem. Z miejsca, w którym stała, dało się zobaczyć niewyraźne jezioro i wierzbę płaczącą, pod którą podobno znaleziono martwego Ravenvillę. Wróciła do zamku dokładnie na obiad, który podano nieco wcześniej niż zapowiadał lokaj. Jedną ze służących zaprowadziła ją do jadalni, będącej dużym pomieszczeniem, o trzech wysmukłych oknach z kwiatowymi witrażami, ciemnozielonymi ścianami, pod którymi stały przeszklone szafy z pokazanymi w nich zastawami. Na środku stał długi stół przykryty białym obrusem, przy nim było chyba z piętnaście krzeseł, lecz tylko jedno miejsce było nakryte. Usiadła na owym miejscu i z wyczekiwaniem patrzyła w drzwiczki kuchenne, znajdujące się po przeciwnej stronie pokoju. Była okrutnie głodna, bo nie jadła nic od samego rana, nawet śniadania nie zjadła, bo musiała szybko biec na pociąg, który nie miał bufetu. Wreszcie służąca przyniosła parujący gulasz i postawiła go przed nią.

Nagle do pokoju wbiegła jakaś wysoka kobieta wyglądająca na pielęgniarkę.

- Beatrice! - wykrzyknęła służąca – co się dzieje?

- Przygotuj ciepły okład – poleciła – pan źle się czuje.

Służąca pobiegła do kuchni, a pielęgniarka zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

Wreszcie zatrzymała się obok Astrid i zapytała ją:

- Byłaś dziś na dworze?

- Tak.

- No właśnie... tak to jest, jak się idzie na wrzosowisko bez szalika i peleryny.

- Miałam pelerynę.

- Ale i tak prawdopodobnie się przeziębisz.

- Nie...

Kichnęła gwałtownie.

- Właśnie. Po obiedzie zmykaj do łóżka i nie pokazuj mi się na oczy bez szalika jeśli wybierasz się znowu na dwór. I raczej w tym – wskazała na suknię – nie będziesz tutaj chodzić. Mam nadzieję, że wzięłaś jakieś cieplejsze ubrania?

- Wzięłam, wzięłam...

- Osoby młode, tak jak ty, są bardziej podatne na choroby, niż my dorośli.

- No... być może...

- Przyjdę dziś do ciebie do pokoju. Jedną z wielu rzeczy na jakie będziesz tu narzekać, oprócz przeziębienia, zimna i nudy jest samotność. Będziemy mogły porozmawiać, wytłumaczę ci sytuację, bo Ulisses jest chory i raczej nie zrobi tego dzisiaj samodzielnie. Być może jutro... bądź pojutrze. Ale nie dziś, na pewno nie dzisiaj.

- Na co jest chory?

- Na gruźlicę, już jest w tym końcowym stadium. Nie może dniami wstać z łóżka, śpi przez kilka dni z rzędu... kaszle krwią częściej niż kilka miesięcy temu... No! Powiem ci później, w Twoim pokoju.

Wybiegła z jadalni trzaskając za sobą drzwiami.

Po chili dobiegły z korytarza wyzwiska rzucane pod adresem pielęgniarki oraz jakieś wrzaski i odgłosy intensywnej kłótni.

Astrid spojrzała w talerz i ponownie kichnęła gwałtownie.

Po kilku minutach przyniesiono rybę z ziemniakami i startą na tarce marchewkę. Po obiedzie udała się do pokoju, owinęła w narzutę ściągniętą z łóżka i usiadła na fotelu. Po chwili do pokoju weszła Beatrice, trzymała kubek gorącej herbaty.

- Obiecałam, że przyjdę, więc jestem – powiedziała.

Poprawiła swoją skomplikowaną fryzurę.

- Ulisses nie ma żony – zaczęła – więc ja robię za gospodynię i panią domu. On zazwyczaj jest zbyt chory, aby wstać z łóżka i robić cokolwiek, zaczyna już się ta faza, w której człowiekowi okropnie puchną nogi... pan czuje, że zbliża się śmierć. I dom też to czuje... całe wrzosowisko czuje...

- To okropne, ale taka już dola chorego. Nic z tym pani nie zrobi.

- Ach... gdyby tylko było jakieś lekarstwo!...

- Pani go kocha?

- Tak... ale on nie wyjdzie za mieszczkę, to cud, że dopuścił mnie do siebie! Poza tym on umiera! Będzie kolejna śmierć... kolejny duch...

- Duch?

- Na wrzosowisku. Są legendy, że ludzie zmarli w tym zamku i jego okolicy powracają jako duchy na wrzosowisko, aby przyciągać do siebie innych.

- Pani myśli, że gdyby komuś tutaj coś się stało... to nie mógłby odejść?

- T-Tak.

- Gdy byłam na spacerze, usłyszałam dziwne dźwięki, takie same dźwięki słyszałam, gdy tu rano jechałam. Brzmiało to jakby ktoś fałszywie grał na piszczałce.

- To flety żałoby... grają zawsze, gdy ktoś ma umrzeć.

W pokoju zapadła ciężka cisza. Patrzyły na siebie nawzajem wzrokiem pozbawionym nadziei. Żadna z nich nie chciała wymówić imienia Ulissesa.

- Czyli wierzycie tutaj w duchy... - mruknęła Astrid.

- Tak – odpowiedziała Beatrice – i w potwory... Możesz to uznać za głupotę i łatwowierność... ale wielu z nas na własne oczy widziało cienie, które znikwały, gdy podeszło się do nich...

- To mogło być złudzenie...

- A czytałaś Frankensteiną? Krążą legendy, że stary Wilhelm trzymał w najwyższej wieży monstrum dwa razy silniejsze i straszniejsze niż tamto.

- Co mi przyjdzie z takich opowieści?

- Dobrze jest wierzyć w te legendy i być przygotowanym, niż nie wierzyć i umrzeć.

Wstała z fotela i szybkim krokiem podeszła do drzwi. Jednak zatrzymała się w progu i powiedziała cicho:

- Jakbyś czegoś chciała, to jestem w pokoju Ulissesa.

Wyszła.

Astrid zerwała się z fotela i podbiegła do biblioteczki. Chwyciła jedyną książkę i wróciła na fotel. Otworzyła ją i zaczęła czytać. Tak zeszło jej aż do wieczora, z kolacji nic praktycznie nie pamiętała. Potem przebrała się w koszulę nocną i poszła spać, lecz nie zasnęła od razu. Jej domagający się wyjaśnień umysł dorabiał teorie do każdego skrzypnięcia podłogi, każdego delikatnego świstu wiatru, każdego cichego stuknięcia w dachówki.

Za oknami była całkowita ciemność, a lampa na szafce nocnej powoli przygasła.

Zagasiła ją i odwróciła się plecami do pokoju, starając się zasnąć.

Następnego dnia obudziło ją pukanie do drzwi.

- Wejść – zawołała.

Drzwi otworzyła wysoka dziewczyna, miała na głowie pstrokatą chustkę, spod której nieśmiało wyglądały kosmyki czarnych włosów. Była ponadprzeciętnie piękna, chodziło o delikatny i łagodny typ piękna. Zamruwała kilka razy i cofnęła się, powoli zamykając drzwi.

- Czekaj! – rozkazała Astrid – kim jesteś?

- Peggy... - wyjąkała – jestem narzeczoną Stuarta. Przychodzę do niego...

- Więc idź do niego.

Dziewczyna zamknęła drzwi. Astrid ziewnęła przeciągle i wstała z łóżka. Podeszła do szafy i wyjęła z niej suknię w kolorze fiołkowym i założyła ją na siebie. Natychmiast skierowała się do gabinetu Ulissesa, aby sprawdzić czy jest tam Beatrice. Zza potężnych drzwi dobiegały głosy stłumionej rozmowy, postanowiła zapukać. Po chwili drzwi otworzyła jej stara służąca. Wpuściła ją do sporego pomieszczenia z biurkiem, kilkoma biblioteczkami, dwoma oknami, i innymi meblami jakie zazwyczaj spotyka się w bogatych gabinetach. Za biurkiem siedziała Beatrice a przed nią, obrócenie plecami do drzwi siedzieli dwaj starsi mężczyźni. Wyglądali na lekarzy. Zaś na fotelu pod oknem siedział jakiś mizerny pan w grubym szlafroku. Poruszył się w fotelu, gdy ją zobaczył.

- Więc, przyjechałaś – wychrypiął słabo.

- Przyjechałam – odpowiedziała – wzywał mnie pan.

Lekarze popatrzeni na siebie nawzajem. Widocznie Ulisses nie powiedział im o przyjeździe pani detektyw.

- Idźcie – powiedziała Beatrice – musimy porozmawiać.

Mężczyźni wyszli za drzwi.

- Co robił Wilhelm w swój ostatni dzień? - zapytała – zachowywał się inaczej?

- Nie... - odpowiedział Ulisses – był dziwnie wesoły i podekscytowany. Nie widzieliśmy go zbyt długo, bo poszedł na wieżę. Potem wyszedł na zewnątrz z dużym kawałem mięsa i... już nie wrócił.

- Jak wyglądało ciało?

- Okropnie... Miał mnóstwo ran..., a w tych ranach kawałki jeleniego poroża... i jakąś małą rankę... jakby od ugryzienia węża... jedną dłoń miał odgryzioną jakimiś wielkimi zębiskami... i to wszystko. Prawdopodobnie zmarł z upływu krwi. Ale doktorzy mówili, że wykryto w jego organizmie truciznę... bądź jad.

- Macie tu węże?

- N-Nie... Ale mamy szczury.

- Czyli twierdzisz, że ukąsił go wąż, bądź zaatakował jelen?

- Nie. Myślę, że został otruty... ale nie wiem przez kogo!

- Czy panicznie bał się czegoś?
 - Śmierci... i pijawek.
 - Pijawek? Są obrzydliwe... ale... no, rozumiem bać się pajaków, ale pijawek?
 - Pewnie miał jakiś powód...
 - Tego się dowiemy w toku. Teraz chciałabym zobaczyć tę wierzbę płaczącą i jezioro.
 - Beatrice! Idź powiedzieć Stuartowi, że ma przygotować bryczkę – polecił.
- Kobieta wybiegła z gabinetu i zostawiła ich samych.
- Ulisses wstał z fotela i podszedł do krzesła, na którym siedziała wcześniej pielęgniarka.
- Nie znalazł pan nic podejrzanego w dokumentach? - zapytała – mam na myśli... ciche groźby... jakieś nietypowe zakupy?...
 - Nic, jedynie co miesiąc kupował od miejscowego rzeźnika cały wóz mięsa.
 - I pan tego nie uważał za podejrzanego? W miesiąc byście tego nie zjedli! A dobrodusznym chyba nie był. On musiał mieć tu coś do wykarmienia...
 - czy mówił coś... przed wyjściem?
 - Powiedział, że to tylko krótki spacer do owiec.

Do pokoju wróciła Beatrice wraz ze starą służącą.

- Idziemy – powiedziała – przyniosłam ci gruby szalik i nową pelerynę.

Wręczyła jej podarunki i dosłownie wypchnęła z gabinetu. Poszły w stronę bryczki, gdzie czekał już na nie stangret. Siadły na ławeczce i w ciszy przejechały drogę do jeziora, tylko na wzgórzu Beatrice nadstawiła uważnie uszu, słuchając Fletów Żałoby. W ten dzień, mgła była jeszcze gęstsza, w czego wyniku nie dało się zobaczyć zarysu jeziora ze szczytu wzgórza. Zjechali po żwirowej drodze w dolinkę i skręcili na ziemną drożkę prowadzącą w bok od głównej drogi. Po drodze mijali spore i wyglądające na ostre skały wapienne wystające z ziemi. Gdzieś tam rosły, szare bezlistne drzewa. Zazwyczaj były blisko skał, ale czasami trafiały się przypadki, gdzie owe drzewa, rosły na środku całkowitej pustki, co było jeszcze bardziej przerażające. Wreszcie dojechali nad jezioro, miało około dwie mile długości i pół szerokości. Jego tafla była szara od wszechobecnej mgły, a gdy zbliżyli się, przybrała kolor zielonkawy. Na powierzchni pływały wyrwane z gleby wodorosty oraz jakieś duże liście. Na brzegu było kilka małych martwych rybek, prawdopodobnie były niejadalne. Piasek był dziwnego koloru pomiędzy szarym, a brązowym i w dotyku był nieprzyjemny i bardziej szorstki niż normalny piasek. Wszystkim zdawało się, że mgła wokół jeziora jest gęstsza niż w innych miejscach. Najstraszliwszy widok przedstawiała jednak płacząca wierzbą. Bezlistne gałęzie zwieszały się aż do wody, wyglądając jak tłuste i skołtunione włosy. Korzenie drzewa też przedstawiały ciekawe zjawisko, wiły się do wody jak macki

skamieniałego potwora, zakręcały i owijały się wokół spróchniałych pieńków wyciętych wcześniej drzew. Drzewo wyglądało, jakby miało wyjść z ziemi i zacząć atakować wszystko co popadnie. Na szczęście znajdowało się ono na drugim końcu jeziora, więc nawet, gdyby wstało, uczestnicy wycieczki mieliby czas na dobiegnięcie do wozu i szybką ucieczkę.

Wysiedli z bryczki i rozpierchli się po brzegu jeziora. Beatrice szukała czegoś w piasku, stangret usiadł na kocu, który przyniósł z zamku, zaś Astrid postanowiła przespacerować się aż pod wierzbę, aby zobaczyć ją z bliska. Jej droga była długa, ponieważ niepraktyczne trzewiki napęniały się piaskiem i ciężko się w nich chodziło, dodatkowo przewróciła się kilka razy i piach powchodził jej w nieliczne ozdoby sukni, dodatkowo dostał się do kieszeni napęniając je, do tego stopnia, że musiała garściami wysypywać piach.

W taki sposób dotarła pod drzewo, gdzie usiadła na jednym z konarów, i została tak przez dobre kilka minut otrzępując się. Przy okazji dotknęła kory, która była pomarszczona i sucha jak skóra starego człowieka. Spojrzała na miejsce oznaczone czerwoną chorągiewką, była tam skrzyneczka z kilkoma rysunkami ciała i dokładnym opisem miejsca. Z zawodem stwierdziła, że częściowo zdeptano ślady, nie dało się rozróżnić butów Ravenvilla od butów ludzi, którzy przyszli obejrzeć miejsce. Widoczne zaś były ślady jelenia, trzy razy większe niż normalnego samca. Przerysowała je do notatnika w skali 1:1 i zaczęła oglądać miejsce wypadku lub zbrodni.

Na konarach od strony lądu widać było trochę krwi i skrawków odzieży, zebrała jeden skrawek i delikatnie obciąła fragment korzenia, ten poplamiony krwią. Podczas podcinania miała wrażenie, że korzeń lekko się rusza, jakby drzewo bało się małego zabiegu. Schowała próbki do woreczka, który włożyła do kieszeni. Odwróciła się do drzewa plecami i zaczęła iść z powrotem w kierunku towarzystwa, ale co chwila zerknęła przez ramię na wierzbę.

Nagle dziwny zapach, dochodzący zza dwóch skał przykuł jej uwagę. Zboczyła nieco z wyznaczonej drogi i podeszła do źródła nieprzyjemnego zapachu. Zajrzała za skałę i jej oczom ukazał się raczej nieprzyjemny widok. Pomiędzy dwoma kamieniami leżał ogromny, rozkładający się jelen, w połowie mięso zostało zjedzone przez mrówki bądź muchy, widać było kości całkowicie obgryzione z mięsa, odsłonięte organy wewnętrzne, ale to co przeraziło ją najbardziej, to brak poroża.

- To musi być ten! - mruknęła.

Wyszła zza skał i szybkim krokiem przeszła pozostały dystans.

Przy bryczce czekała Beatrice, ale stangreta nigdzie nie było widać.

- Znalazłaś coś? - zapytała

- Martwego jelenia... wyglądał na zagryzionego na śmierć... i był dwa razy większy niż normalny samiec.

- Mówiłam, lepiej wierzyć niż potem być martwym.

- No... jeśli to coś miałoby nas zaatakować...

- Spokojnie, one grasują po wrzosowisku w nocy, więc teraz jesteśmy bezpieczne.

- Ale coś musiało zabić tego jelenia!

- Rzeczywiście... - wymamrotała Beatrice.

Spojrzała z niepokojem na jezioro.

- Jedziemy – powiedziała, gdy stangret dotruchtał wreszcie do bryczki – oprowadzę ją po zamku, muszę zdążyć przed obiadem, bo chciałabym potem przyjąć dłużników... wyjaśniała Beatrice.

Droga do zamku była bardziej nieprzyjemna niż ta z zamku do jeziora. Gdy wjeżdżali na wzgórze, zaczął padać deszcz, który przemoczył ich do suchej nitki. Pielęgniarka wyglądała jakby miała znaleźć sposób na zmianę pogody i zastosować go. Zerkała ukradkowo od czasu do czasu na Astrid, która już teraz była nieco przeziębiona. Gdy dojechali na brukowany podjazd, Beatrice chwyciła ją za ramię i dosłownie wyciągnęła ją z bryczki, a potem pobiegły do zamku, aby nie zmoknąć jeszcze bardziej.

Następnie poszła z nią do pokoju i upewniła się, że znalazła sobie ciepłą i suchą pelerynę oraz szalik. Dopiero wtedy pozwoliła jej iść z sobą zwiedzać zamek.

Zeszły na parter po widowiskowych schodach i przysiadły na stołeczkach przed drzwiami gabinetu Ulissesa, z którego znowu dochodziły stłumione rozmowy.

- Więc... - mruknęła Beatrice – Ulisses kazał mi oprowadzić cię po zamku, zaczniemy od salonu.

- Macie więc salon?

- Tak... aż trzy. Pokażę ci ten pierwszy. Nie będę zbyt wiele mówić, nie znam się na oprowadzaniu.

Przeszły przez hall, który płynnie przeszedł w wysoki korytarz z około piętnastką ogromnych drzwi. Każde miały inne wzory, zwierząt, fantastycznych stworzeń, kwiatów, dziwnych roślin a nawet potworów. Weszły do trzecich po prawej. Ich oczom ukazał się spory pokój o seledynowych ścianach, pięciu oknach ułożonych w półkole naprzeciwko drzwi. Po prawej stronie był kominek, kilka foteli i jakiś stolik z wazonem. Po lewej stronie stały dwie kanapy ułożone w L oraz niska ława dekoracyjna. Na ścianach wisiały dwa lustra i mnóstwo obrazów. Przed oknami stał okrągły stolik z kilkoma krzesłami, nakryty obrusem wyszywanym w kwiaty róży. Podłogę stanowił parkiet, który w kontakcie z twardymi obcasami butów

Astrid, wydawał puste dźwięki. Pielęgniarka przysiadła na krześle przy wygaszonym kominku i wyjęła z torebeczki, którą wzięła z hallu, książkę. Otworzyła ją na stronie zaznaczonej wstążeczką i zaczęła czytać, dając Astrid cichy znak, że może obejrzeć salon. Zastosowała się do nie-wypowiedzianego polecenia i podeszła do najbliższego obrazu. Przedstawiał jakąś młodą kobietę w muślinowej sukni, z krótką pąsową narzutą na ramionach, z kilkoma kwiatami we włosach i z złotym naszyjnikiem. W tle była jakaś wieś w pełni lata. Przeszła pod następny obraz, ten przedstawiał jakiegoś staruszka ze śmieszną bródką na tle wzburzonego morza. Większość obrazów to były portrety, bądź krajobrazy, ale pośród nich znalazła coś co miało być zapewne obrazem jakiejś średniowiecznej i trochę krwawej bitwy, ale było tylko grupą ludzi na koniach z niepoprawnie trzymanymi mieczami. Wyszukała też niedokończony obraz.. było to samo zagruntowane płótno w dziwnie żółtych kolorach. Beatrice, widząc jej zainteresowanie raczyła ją poinformować:

- To ostatni obraz Petroniusza, czyli wuja Ulissesa. Chciał namalować pustynię... ale nie mógł, bo następnego dnia został potrącony przez wóz. Żył jeszcze przez kilka dni, ale dzieła nie ukończył.

Widząc, że Astrid skończyła oglądać pomieszczenie, gospodyni wstała z kanapy, książkę schowała do torby.

- To co teraz? - zapytała Beatrice, zamykając za sobą drzwi – może...

- Po co to wszystko, skoro mieszkacie na takim odludziu. Nikt tu do was nie przyjeżdża...

- Kiedyś podobno przyjeżdżali, zatrzymywali się po drodze do jakiegoś większego miasta... którego już nie ma.

- Nie ma?

- Jednego dnia było pełne ludzi, a drugiego już nie.

- Co?

- to było dawno temu. Opowiadała mi o tym matka, której opowiadała o tym babka...

- Ale wnętrza nie wyglądają na stare, remontowano je?

- Tak. Wilhelm dbał o zamek. Może nie był dobry dla ludzi, ale troszczył się o to miejsce... i o wierzbę.

- Czyli po to chodził nad jezioro?

- Tak... Nie wiem nic więcej. Niestety nie dowiesz się zbyt wiele z tego nieoficjalnego przesłuchania.

- To nie przesłuchanie, tylko zbieranie informacji, czyli praca detektywa. Myślę, że zwiedzanie możemy dokończyć jutro, teraz muszę dokładnie pomyśleć nad tym wszystkim, bo mam mnóstwo pytań.

Odwróciła się plecami do pielęgniarki i szybkim krokiem poszła do swojego pokoju.

Znowu zaczęła czytać „Frankensteina”, poznając opisy monstrum, zaczęła coraz bardziej się bać, co zazwyczaj się nie zdarzało.

- Dwa razy większe i potężniejsze niż to opisane tutaj – myślała przewracając kartki książki – kto też go stworzył?...

Odłożyła książkę na stolik i zapatrzyła się w widok za oknem.

- Czy on chciał oswoić tego potwora? - zapytała sama siebie – A może jeleń go zaatakował z żądy krwi? A może mięso nie było dla niego... W każdym razie, zginęli obaj. I zwierzę i człowiek.

Wstała z fotela i podeszła do małego lusterka na ścianie. Przejrzała się w nim i poprawiła opadające jej na oczy kosmyki włosów.

- Muszę zobaczyć jego gabinet – pomyślała.

Wyszła z pokoju trzaskając drzwiami i zbiegła na dół. Chciała szybko znaleźć Beatrice.

Nie naszukała się zbyt dużo, bo pielęgniarka siedziała na kanapie w saloniku.

- Muszę zobaczyć gabinet Wilhelma – oznajmiła

- Zastanawiałam się, jak szybko przyjdiesz tu i mnie poprosisz o pokazanie ci drogi.

- A to Ulisses nie ma gabinetu po Wilhelmie?

- Nie. Stary świr urzędował w innym miejscu. Bał się... czegoś. Jego gabinet jest w jednej z wieżyczek.

Wstała i spojrzała za okno, mgła nie zagęściła się, ale zrobiło się ciemniej i bardziej ponuro. Wyszły z pokoju i skierowały się w stronę hallu, potem przeszły bliźniaczym korytarzem aż do jakichś małych drzwiczek, prowadzących do wąskiego przejścia zakończonego takimi samymi drzwiami, które wychodziły do małego pokoiku z dwoma wąskimi oknami i następnymi drzwiami prowadzącymi do kolejnego przejścia, które kończyło się spiralnymi schodami wyłożonymi czerwonym materiałem. Kończyły się piętro wyżej w pokoju z innymi, większymi schodami. Weszły po owych schodkach, aż na sam szczyt, gdzie znajdował się luksusowy pokój z gobelinami na ścianach, dużym biurkiem, dwiema kanapami i stoliczkiem. Gabinet był wysoki i dobrze doświetlony, bo miał aż sześć okien, z czego jedno było otwarte i było powodem odczuwalnego przeciągu. Pomiedzy oknami stały biblioteczki zastawione książkami, a na biurku leżały jakieś duże kawałki papieru. Gdy podeszła bliżej, okazało się, że są to rysunki jakichś potworów z ogromnymi kłami, węzowymi ogonami, bądź innymi strasznymi dodatkami.

- Monstrum dwa razy większe i potężniejsze niż to z „Frankensteina” – wyszeptała Beatrice.

- Co to ma być? - zapytała Astrid, patrząc na rysunki – czemu rysował potwory?

- Nie wiem... Na własne oczy widziałyśmy tylko martwego jelenia, a tak wyglądałby za życia – wskazała na jakiś rysunek.

Astrid poczuła na twarzy kropelki zimnego potu.

- T-Tak? - wyjąkała – dobrze, że był martwy. Nie przeżyłybyśmy spotkania z nim gdyby żył.

Z kartki szczyrzył na nie kły ogromny jelen z ogromnym porożem, długimi nogami i kościstym tułowiem.

Pogrzebała chwilę w kartkach i wyciągnęła kolejny rysunek.

- To jest to monstrum? - zapytała niepewnie.

Beatrice pokiwała głową.

- Widziałam te rysunki, jak przyszłam powiedzieć Wilhelmowi, że syn źle się czuje – mruknęła.

W zamyśleniu usiadła na kanapie.

Astrid zaś zabrała się do przeglądania dokumentów, listów i innych papierów jakie Wilhelm miał w swoim biurku. Im dalej szła, tym większa ilość pytań tworzyła się w jej umyśle. Natrafiła na potwierdzenia o zakupie dwóch takich samych marynarek, identycznych zegarków, trzech obrączek ślubnych (list był pożółkły i pomięty) oraz wielu innych podobnych rzeczy.

Dziwiły ją też listy towarzyskie, niewiele ich było, ale zapewniły jej mnóstwo wiedzy. Proszono go na bale, na które nie przychodził, dokładnie w jednym liście napisano: „Niech pan przyjdzie i uszczęśliwi moją córkę”. List był stary, sprzed kilkadziesiąt lat, potem zaproszenia stawały się coraz rzadsze, aż w przeciągu ostatnich pięciu lat, na uroczystości towarzyskie zaproszono go jedynie dwa razy, a tłumaczono to etykietą. Potem przeszła do gazet, jakie nazbierały się w jednej z szafek. Większość nie mówiła jej nic, ale znalazła kilka wydań z wiadomościami o zaginionych parobkach Wilhelma.

- Czy matka starego Renvilla była wierząca? - zapytała podnosząc wzrok znad gazet.

- Ach... była, słabo ją pamiętam, gdy tu jeszcze była... ja miałam może piętnaście lat i zmywałam naczynia w kuchni... Ale była bardzo religijna. Zmarła kilka dni po tym, jak Ulisses zatrudnił mnie jako swoją pielęgniarkę.

- No cóż. Jutro pojedziemy do tutejszego pastora.

- A co ma pastor do matki?

- Przekonasz się. Teraz chodźmy na dół, mówiłaś mi, że musisz zająć się Donaldem... czy kimkolwiek tam...

- Tak – wymamrotała Beatrice – chodźmy.

Wróciły tą samą drogą do hallu, Astrid wróciła do pokoju czując, że zaczyna być coraz bardziej przeziębiona, a Beatrice zniknęła za ogromnymi wrotami posiadłości. Pobieгла do wejścia dla służby i gwałtownie otworzyła drzwi. W małym saloniku siedziały dwie starsze panie oraz jakaś młoda dziewczyna, obok nich stał Stuart oraz niski chłopak, było też trzech starych mężczyzn z siwymi włosami przystrzyżonymi identycznie. Stuart odchrząknął znacząco i popatrzył na Beatrice w wymowny sposób. Ona kiwnęła głową w odpowiedzi, zgodziła się, aby Stuart wyprowadził Donalda z pokoju. Siedzący w pokoju ludzie zwrócili na nią swój wzrok.

- Co ci jest? - zapytał Stuart – nie wyglądasz wesoło.

- Peggy... chyba znalazła sobie nowy cel – mruknęła – teraz, zamiast nękać Daniela, nęka nową.

- była tylko raz – zauważyła młoda służąca – widziałam. Akurat przechodziłam tam, aby przetrzeć ramy obrazów.

- Ale Peggy może pociągnąć za sobą innych! - wykrzyknęła – popatrz, na przykład taki... gospodarz Tomas, on nie jest nieszkodliwy. Potrafi zatrzymać bicie serca ofiary na dziesięć sekund, wystarczająco, aby ofiara zemdląła z braku powietrza i bólu!

- Nowa musi od czegoś zacząć – prychnęła jedna ze starych kucharek – duchy jej nie zabiją.

- Lekceważycie mnie! - warknęła Beatrice – a co jeśli zdarzy się nieszczęśliwy wypadek, kiedy Gospodarz, Wilson i Anna będą w jednym miejscu i ktoś żywy też tam będzie? To nie musi być nowa, choćby ktoś z nas!

Trzaskając drzwiami wyszła z pokoju i wróciła do głównej części zamku. Zaczęła chodzić bez celu po pokojach, sprawdzając czy wszystko jest na swoim miejscu. Znała naturę tutejszych służących, kradli, gdy nie patrzyła.

Wreszcie weszła do gabinetu Ulissesa i zaczęła przeglądać dokumenty jakie ostatnio otrzymał, ostatnio znaczy w przeciągu kilku miesięcy.

Tak minął jej wieczór.

Zimny powiew powietrza obudził Astrid z głębokiego snu. Pierwsze co zauważyła, to Beatrice stojąca przy oknie. Majstrowała coś przy zawiasach. Gdy usłyszała, że Astrid się obudziła, odwróciła się i spojrzała na nią żartobliwym niezadowoleniem.

- Ja, tu tak ciężko pracuję – powiedziała – a ty śpisz?

Puściła na chwilę okno, które otwarło się na oścież i mocno uderzyło w ścianę.

- Okna w tej części zamku mają tę wadę, że ciągle psują się im zawiasy – powiedziała – to przez starość! W prawym skrzydle zostały wymienione, a tutaj jeszcze je zostawiliśmy.

- Czemu je wymieniliście?

- A! Były nieszczelne.
- To musiało być duże przedsięwzięcie... zrobić od nowa wszystkie witraże...
- Wyjęliśmy szyby z tamtych i przełożyliśmy je do nowych.
- To wy robiliście?
- Pomagaliśmy robotnikom, chcieliśmy, aby robota została wykonana szybciej, aby Ulisses się nie przeziębził.

Astrid naciągnęła kołdrę pod szyję i spojrzała znacząco na okno.

- Wybierz mi jakąś kieckę – poprosiła – są w szafie.

Beatrice chwile patrzyła na ubrania, a potem chwyciła grubą, brązową suknię z czymś w rodzaju dopinanej falbanki na dole.

Po śniadaniu, wsiadły do bryczki i wyruszyły w długą drogę do wioski Ravenville. Minęły jezioro, ale pojechały dalej, z oddali wyłoniła się duża formacja skalna, lecz bryczka minęła ją, znalazły się pomiędzy małymi zaoranymi poletkami, potem zaczęły się pojawiać pierwsze domki kryte strzechą. Wreszcie bryczka stanęła przed czymś w stylu kościoła z drewnianym domkiem przybudowanym do boku budowli. Zeskoczyły z bryczki i podeszły do budyneczku. Beatrice zapukała, niepewna zamiarów Astrid. Po chwili otworzył im niski, stary człowieczek ubrany w połatany płaszcz. Wyglądał na pocziwego. Uśmiechnął się i wesołym gestem zaprosił je do środka.

- Witam panie – powiedział siadając na taboreciku przy stole – czego potrzeba?

- Muszę zobaczyć rejestry urodzeń, chrztów i innych wydarzeń.

- Już, już – mruknął i podszedł do szafki.

Wyciągnął z niej książkę, ze skórzaną okładką, miała wytarte rogi i mnóstwo plam.

- Nie dba pan o nią – zauważyła z dezaprobatą Astrid – jak daleko sięga?

- zaczęto ją pisać... około sto... nie, może dziewięćdziesiąt lat temu – odpowiedział – byliśmy... tą nowatorską społecznością. Nigdzie nie było żadnego szpitala, aby zapisać wszystko... więc mój poprzednik, pod koniec swojego życia postanowił założyć księgę... Był trochę samolubny, więc sam pewnie chciał być tam zapisany, na honorowym miejscu...

Wzięła od niego rejestr i otworzyła ją na początku. Przez chwilę kontemplowała w myślach bogato zdobiony wstęp, składający się z krótkiej informacji o całej tutejszej społeczności. Potem rozpoczęły się rubryki z urodzeniami, innymi datami oraz śmierciami.

Przerzucała kilka kartek naraz, tylko zerkając pobieżnie na daty. Wreszcie zatrzymała się i palcem namierzyła coś co ją zainteresowało.

- To ty, Beatrice – zauważyła – i brat Rudolf...

Nagle drzwi budyneczku otworzyły się i do środka wszedł wysoki mężczyzna z ulizanymi na prawą stronę włosami, w chłopskim stroju. Niósł worek ziemniaków.

- O wilku mowa, a wilk tuż tuż – zaśmiała się Beatrice.

Zostawił ziemniaki w siatkowym worku na krześle i pochylił się nad Astrid.

- Czy nie uważasz, że dusza ludzka jest jak to wrzosowisko? - zapytał tonem poety – nieprzenikniona, jak mgły, które je spowijają... Tajemnicza i pełna sprzeczności...

- Moja się do takich nie zalicza – odpowiedziała – doskonale wiem czym jestem i co steruje moim umysłem.

Rudolf odwrócił się od niej i zaczął patrzeć na pastora. Potem pokręcił głową i wyszedł.

- Ile masz lat? - zapytała patrząc na pielęgniarkę.

- Trzydzieści dwa...

- Nie wyglądasz, dałabym ci dwadzieścia osiem.

Wróciła się o spory kawał księgi do tyłu i dokładniej zaczęła studiować daty. Wreszcie wyjęła z kieszeni kartkę papieru i zapisała na niej kilka liczb oraz jakieś inne wiadomości.

- Na początku byli Wilhelm i Bernard. Potem Bernard zmarł, i został sam Wilhelm. Przynajmniej tak jest napisane. Byli zapewne bliźniakami, data urodzenia jest taka sama, więc to bliźniaki... Podstawowa logika!

Zamknęła księgę i wstała od stołu.

- Muszę załatwić kilka spraw na wsi – mruknęła Beatrice – chcesz iść ze mną?

- Pójdę...

Trzy godziny później przyszły na to samo miejsce, gdzie czekała na nie bryczka, w której czekał na nie Stuart. Wsiadły na ławeczkę. Zauważyły, że zrobiło się jeszcze zimniej. Stangret odwrócił się do nich, przełożył lejce do jednej ręki, a drugą podał im ciepłe koce.

- O co chodzi? - zapytała Beatrice poprawiając koc, którym szczelnie owinęła Astrid – mówiłaś o spisku.

- To niejasne przypuszczenia, ale mogli go ciągnąć przez lata – wymamrotała – nie będę mówić, aby cię nie zmylić.

Droga dłużyla im się, ciągle wyglądały jakiegoś niebezpieczeństwa ze strony wrzosowiska, Beatrice szukała czegoś wzrokiem pośród kamieni rozsianych po ogromnych obszarach wrzosów, niezakłóconych żadnym drzewem, nie licząc niskich, samotnych świerków, wyrastających tam, gdzie był dobry grunt oraz płaczącej wierzby. Gdy dojechały do zamku, dowiedziały się, że obiad już jest gotowy. Zjadły go w ciszy. Coś powstrzymywało je od mówienia. Po skończonym posiłku Astrid poszła do gabinetu, aby sprawdzić dokumenty

jeszcze raz. Gdy wróciła, było już ciemno za oknami. Na fotelu w jej pokoju siedziała Beatrice, gdy weszła spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Co tu robisz? - zapytała – nie powinnaś być u Ulissesa?

Dopiero po zadaniu pytania, zobaczyła, że pielęgniarka płacze.

- On... On... potrzebuje pomocy – wyszlochała.

- W czym?

- On umiera...

Astrid odwróciła się szybko i zatrzasnęła za sobą drzwi, zbiegła szybko po schodach i wpadła do gabinetu. Nie było go w środku.

Beatrice szybko ją dogoniła i poprowadziła do sypialni, znajdującej się kilka pokoi dalej.

Wbiegły do środka, przy łóżku siedziało dwóch lekarzy, to byli ci sami, których widziała wczoraj w gabinecie, jakaś wystraszona służąca, Stuart i lokaj.

Ulisses leżał przykryty kocami, miał mocno zaczerwienioną twarz, wyschnięte wargi i rozgorączkowane oczy. Gdy weszły, podniósł na nie zmęczony wzrok. Wybełkotał coś niewyraźnie i sięgnął ręką na mały stolik przy łóżku, chciał chwycić szklankę, ale wypadła mu z ręki i roztrzaskała się u stóp Beatrice, która podeszła do niego, aby dokładniej mu się przyjrzeć.

- Po co ona? - zapytał, wskazując na Astrid – czemu kazałaś się jej fatygować do mnie?

- Jak wszyscy, to wszyscy – wyszeptała siadając obok lekarzy – tak jak kazałeś.

- Nie kazałem – powiedział mocniejszym tonem.

- Jak nie? Mówiłeś, że mają przyjść wszyscy!

- To gorączka – wtrącił starszy lekarz – biedak gadał niestworzone rzeczy... o jakimś dziedzictwie strachu, o potworach na wrzosowisku... o duchach ---

Urwał, gdy zobaczył jak Beatrice na niego patrzy. Przeraził się i już nie powiedział ani słowa, czując, że nie ma racji. W sypialni zaległa nieprzyjemnie długa cisza, przerywana jedynie przyśpieszonym oddechem Ulissesa oraz jego niezrozumiałym bełkotem. Nagle chory zerwał się z łóżka i wybiegł z pokoju, stało się to tak niespodziewanie, że lekarze nie zdążyli go powstrzymać. Astrid wybiegła za nim, jako że stała najbliżej drzwi i była najbardziej wysportowana z całego towarzystwa. Gdy znaleźli się na dworze, ciężiej było zobaczyć, gdzie chory biegnie. Zauważyła jednak, że jest ponadprzeciętnie szybki, sama nie mogła za nim nadążyć. Dodatkowo potykała się co chwila o materiał długiej sukni, na szczęście nie spowalniało jej to, była nauczona biegać w niewygodnych strojach. Z oddali dobiegło wycie wilków oraz jakieś dziwne chrząkanie i porykiwanie. Nagle zniknął jej z oczu za skałami. Wbiegła za nim, ale nie mogła go nigdzie zauważyć.

- Nie boję się! – wrzasnął chory

Nagle usłyszała jakiś stłumiony ryk, nie był to głos przerażonego do śmierci człowieka, ale coś bardziej pierwotnego i zwierzęcego. Nie był to głos ludzki. Skryła się za skałą i przyłożyła dłoń do ust, aby nie wydać żadnego dźwięku. Siedziała tak, słuchając czyjegoś biegu, potem przerażonych wrzasków, a potem dźwięku rozrywanego mięsa. Nagle rozległ się dudniący dźwięk, jakby kopyt uderzających o ziemię, na szczęście oddalał się od niej. Gdy ucichł, wyrzała ze swojej kryjówki. Ślady krwi na skale mówiły za wszystko.

- Biedny Ulisses – wyszeptała patrząc na kamień.

Potem bezceremonialnie chwyciła materiał sukni podnosząc go do góry i pobiegła z powrotem do zamku. Wpadła do sypialni, wszyscy spojrzeli na nią z ciekawością mieszaną z strachem. Lekarze zauważyli, że jest okropnie blada. Usiadła na krawędzi łóżka, przy Beatrice i rozplakała się, wtulając się w ramię pielęgniarki. Spędziły tak całą noc, wraz z lekarzami, którzy jakoś nie chcieli zebrać się do wyjścia, tylko czasami ukradkiem ocierali łzy z kącików oczu. Pokojówka i lokaj otwarcie wyszli, ale zza drzwi słychać było ciche chlipanie.

Gdy zaczęło świtać, co objawiło się rozjaśnieniem ciemności za oknem w nieprzyjemną szarość, a potem w białosć mgieł. Wszyscy rozeszli się do swoich pokoi, bądź do salonu w przypadku lekarzy. Tego dnia nie przygotowano śniadania ani obiadu, cały dom ogarnęła dziwna martwa cisza. Wieczorem do pokoju Astrid weszła Beatrice. Przez długi czas siedziały naprzeciwko siebie i w milczeniu myślały nad sytuacją. Wreszcie pielęgniarka przełamała ciszę:

- Co widziałaś? - zapytała

- Nic. Słyszałam zaś wrzaski... i to nie był głos Ulissesa. Jeszcze jakieś ryki... potem wycie.

- Ryki... dawno nie było ich na wrzosowisku.

- Och...

- Tam musiał być ktoś inny – mruknęła Beatrice.

- Nie wiem, kto? No i co stało się z Ulissem, skoro to nie jego wrzaski słyszałam...?

Wstała z fotela i zaczęła chodzić po pokoju nieco chwiejnym krokiem.

Nagle zatrzymała się w miejscu i zapytała:

- Czy ktoś z zebranych tam palił?

- No... Stuart pali...

- A gdzie on jest?... Czy wychodził z sypialni przed tym szaleńczym biegiem?

Beatrice wybiegła z pokoju, widocznie zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak.

Po kilku minutach wróciła, blada jak mgła za oknami.

- Nie ma go, nie ma go od rana! Nie wrócił do sypialni...
 - Więc co się stało z Ulissem? - zapytała zrywając się z fotela na którym usiadła gdy pielęgniarka wyszła z pokoju – skoro go nie ma... to znaczy, że on musi gdzieś tam być! Słyszałam jeden głos i ryk. Musimy go znaleźć...
 - Pewnie też nie żyje – mruknęła Beatrice – nie przetrwałaby w chorobie nocy na wrzosowisku. To cud, że ty wróciłaś stamtąd żywa.
 - A mogłam zginąć?
 - To co zjadło Stuarta, mogło zjeść i ciebie. To był prawdopodobnie drugi jeleni...
 - Albo coś innego, jelenie nie wyją. Tam było coś jeszcze.
- Pielęgniarka zaczęła nerwowo chodzić po pokoju i zastanawiać się nad czymś intensywnie. Wreszcie przystanęła na środku pokoju i spojrzała za okno, jakby szukając czegoś.
- Słyszałaś o wilkołakach? - zapytała.
 - Coś mi się o uszy obilo...
 - Prawdopodobnie doświadczyłaś jego obecności. Musimy iść znaleźć Ulissesa, z wilkołakiem nie przetrwa zbyt długo.
 - Więc... co, mamy iść na wrzosowisko? Ściemnia się. Co jeśli ten wilkołak wróci?
 - To... nic. Może zdołamy uciec.
- Chwyciła swoją pelerynę, którą zostawiła na oparciu fotela, Astrid zrobiła to samo, tylko że jej okrycie wisiało na ozdobie szafy.
- Wyszły z pokoju, Beatrice po drodze wzięła lampę, przy której pomocy miały oświetlać sobie teren.
- Gdy znalazły się na dworze, otoczyła je nieprzenikniona ciemność. Widziały tylko to, co oświetlała im lampa, żadnych zarysów tego co było poza zasięgiem światła. Otoczyły je dźwięki, niektóre były głośne, inne ciche. Powoli zaczęły rozróżniać wiatr wiejący między skałami, flety żałoby, szmer traw, czasami trzepot skrzydeł jakiegoś zbłąkanego ptaka nocnego.
- W pewnym momencie zboczyły ze ścieżki i zaczęły iść poprzez wrzosa.
- Nagle Astrid zatrzymała się i wbiła wzrok w ciemność, na jej twarzy odmalowało się niesamowite skupienie.
- Strach zmałował moje myśli i zamieszał je – powiedziała głośno – Wilhelm nigdy nie umarł.
- Beatrice zatrzymała się w połowie kroku i spojrzała na nią ze zdziwieniem.
- Co? - zapytała – Ale...
 - Widziałaś podwójne zakupy? - zapytała – tu działa się spisek, który podejrzewałam, ale przypuszczałam, że to Bernard był tym złym. To wszystko zostało ukartowane przez ich

matkę, która miała jakiś cel w wykorzystaniu Bernarda jako zastępcy Wilhelma. Chyba wiem dlaczego. Pamiętasz jak mówiłaś, że w najwyższej wieży zamku mieszka potwór? Myślę, że to Wilhelm jest tym potworem, dwa razy straszniejszym od tego z Frankenstein. On sam jest potworem, bo tworzy je. W pewnym momencie uznał, że Bernard stanowi jakieś zagrożenie dla niego, nie wiem jakie... chyba zaczął, zyskiwać świadomość, więc Wilhelm postanowił go otruć, ale to nie zadziałało, więc kazał mu w swoim imieniu nakarmić jelenie. Wtedy jelenie rzuciły się na niego i zabiły go, a Wilhelm nadal żyje... i prawdopodobnie teraz nas obserwuje, a nawet słucha... i chce się nas pozbyć, bo znamy prawdę... prawdopodobnie mu się uda, bo żadna z nas, nie okłamujemy się, nie ma szans przeciwko oszalałej bestii.

- Więc czemu tu przyszedłaś? Nie mogłyśmy zostać w zamku?

- Tam jest więcej rzeczy, które tylko by nam przeszkadzały w ucieczce.

- Nie czuję się tu zbyt dobrze nocą...

- Pamiętaj o Ulissesie.

- pewnie już nie żyje – odparła ze smutkiem Beatrice – możemy wracać.

- A może...

- Wolę siedzieć przy ciepłym kominku niż sterczeć tutaj i czekać aż mnie coś zje.

Odwróciły się plecami do skał, wierząc, że nic na nie nie wyskoczy. Dotarły przed drzwi zamku, ale nie weszły do środka. Stały przez chwilę patrząc na ślady pazurów na drzwiach. Powoli otworzyły drzwi i na paluszkach przekradły się do pokoju Astrid. Zrzuciły z siebie peleryny, pozostawiając je w nieładzie na podłodze. Beatrice intensywnie wpatrywała się w okno, prawie przykładając nos do zmarzniętej szyby, na której powoli zaczął osadzać się szron. Wypatrywała czegoś intensywnie pośród czarnej nocy. Nagle! Na korytarzu rozległ się brzęczący dźwięk, jakby uderzania metalowymi narzędziami o siebie. Drzwi powoli uchyliły się i stanął w nich jakiś człowiek, a bardziej duch. Był nieco przeźroczysty, miał mnóstwo krwi na sobie, a w rękach trzymał kosę i widły, którymi uderzał o siebie. Gdy znalazł się już całkowicie

w pokoju, Astrid poczuła dziwną słabość i niemoc, po chwili nawet ból, a potem już nic, bo straciła przytomność. Po chwili obudziła się. Beatrice spojrzała na nią wyrozumiale i powiedziała:

- Mamy tutaj duchy.

- Które mogą doprowadzić człowieka do nieprzytomności. O tym nie napisał w liście.

- No... Bo nie chciał cię przestraszyć.

- I tak bym przyszła. Ale czemu to się stało?

- Bo widzisz... Każdy duch ma tutaj inną umiejętność, nie wiem od czego to zależy... Ale gospodarz, który nas odwiedził potrafi zatrzymać bicie serca na dziesięć sekund, dostateczną ilość czasu, aby sprawić ból. Peggy potrafi sprawić, że kwiaty... rośliny, których dotknie zwiędną w kilka sekund, potem jest... Ach, nawet nie będę mówić.

- Widziałam tą Peggy...

- I co?

- Powiedziałam, aby odeszła i odeszła.

Beatrice pokiwała głową.

- Bezpieczniej jest teraz na wrzosowisku – Astrid chwyciła pelerynę – Tam naszym zmartwieniem jest jedynie wilkołak... czy tam inny potwór, a tutaj mamy też duchy, które mogą nas wpędzić w poważne tarapaty. Poza tym, widziałyśmy ślady na drzwiach, to coś weszło do środka. Nie jest tu bezpiecznie.

- Drzwi są mocne, nie powinien wejść.

- Znasz jego siłę?

- N-Nie, chcę po prostu... wierzyć, że jesteśmy bezpieczne... gdzieś w jakimś miejscu.

- Tutaj nie ma bezpiecznego miejsca. Przez cały czas pracy myślałaś, że bezpiecznie jest w zamku. A na wrzosowisku... tymczasowo jest bezpieczniej. Staralam się ci to powiedzieć... ale mnie nie słuchałaś i teraz też sprawiasz wrażenie rozkojarzonej.

Pielęgniarka chwilę siedziała bez ruchu na fotelu, potem wstała i chwyciła pelerynę.

- Czyli jednak idziesz ze mną? - zapytała Astrid.

- Idę.

Wróciły na ciemne, trawiaste pagórki. Szły ścieżką aż do jeziora, potem skręciły w dróżkę prowadzącą do wioski Ravenille.

Po kilkunastu minutach marszu zaczęły dostrzegać zarysy chatek oraz stodół.

- Znajdź tu jakieś miejsce, które jest dobrą kryjówką na takie sytuacje – poleciła Astrid – to, że uciekłyśmy z zamku, który ma w sobie potwory, nie oznacza, że jesteśmy zupełnie od nich bezpieczne.

Beatrice przez chwilę myślała intensywnie a potem powiedziała z nieco krzywym i sarkastycznym uśmiechem:

- Wiem gdzie możemy iść.

Poszły ziemną drogą aż pod dom pastora, potem odbiły w prawo i jeszcze raz w prawo, pomiędzy jakimiś śmierdzącymi budynkami, a potem zeszły nieco w dół i zatrzymały się przed niskim domkiem, o pobielanych ścianach z ławeczką pod oknem.

Pielęgniarka dosłownie uderzyła pięścią kilka razy w drzwi, aż w głębi domu nie rozległy się czyjeś kroki i drzwi nie otworzył im Rudolf w koszuli nocnej sięgającej do ziemi. W nocnych mrokach nie było widać jak Beatrice patrzy ze złością na swojego brata. Weszły do środka. Rudolf zaprowadził je do stołu w małej kuchni, pokazał im, że mają siąść na krzesłkach, a sam zasłonił zasłony w oknie i zabrał się do gotowania.

- Zastanawiałem się, kiedy tu przyjdziecie – powiedział, sięgając po jakieś warzywo do koszyka postawionego na półce – bo, że przyjdziecie, było pewne.

- Zabrnęła dalej niż wszyscy – mruknęła Beatrice przyglądając się wyczynom kuchennym Rudolfa.

- Czemu? Nikt nie odkrył, że Wilhelm, który umarł, to nie Wilhelm? - jęknęła Astrid – trzeba było tylko zajrzeć do listów -

Nie dokończyła, bo przerwało jej walenie w drzwi, a potem trzask łamanych desek oraz jakieś inne podejrzane dźwięki w przedpokoju.

Rudolf wyszedł z kuchni, aby zobaczyć co weszło do chaty. Zaraz potem wrócił niesamowicie blady i przerażony.

- To jest tutaj – wyszeptał.

- Idziemy przez okno – Beatrice bezszelestnie otworzyła okno i szykowała się do wyjścia przez nie.

- Szybciej – ponaglił Rudolf.

Po pielęgniarce wyszła Astrid, a po niej Rudolf.

Szybko i cicho przebiegli przez kawałek niezakrytej niczym ziemi i skryli się za dużym, drewnianym budynkiem, z którego dochodziło monotonne sapanie bydła. Jakiś cień poruszył się na tle domu. Potem zaczął się przemieszczać tam, gdzie stała trójka uciekinierów. Gdy podszedł bliżej, zaczął nabierać kształtów humanoidalnego olbrzyma z pazurami, dziwnymi kolcami na ramionach i przerażającymi oczami świecącymi się na czerwono. Potwór uniósł pięść i zamachnął się nią na budynek. Deski i drzazgi poleciały we wszystkich kierunkach, nieprzyjemnie kalecząc trio, które zdążyło odsunąć się nieco od stodoły. Z kupy zawalonego drewna rozległo się żałosne porykiwanie krów. Astrid, widząc okazję w rozproszeniu uwagi olbrzyma, pociągnęła Rudolfa za rękę i pobiegła w stronę kościółka. Wbiegła do środka, i nie zatrzymując się w środku, popędziła do drzwi prowadzących prosto na plac pastora. Beatrice podążyła za nimi, jednak co chwila oglądała się za siebie czy potwór ich nie goni. Drzwi były lekko uchylone, więc weszli do środka. Dom był dziwnie pusty i cichy, jakby mieszkańcy akurat gdzieś wyjechali. Astrid siadła przy sekretarzyku i chwyciła jakąś księgę, spisując coś szybko. Potem schowała kartkę do kieszeni i natychmiast pobiegła

na tyły domu, aby otworzyć okno i wyleźć przez nie na zewnątrz. Beatrice i Rudolf zrobili to samo, ufając instynktowi samozachowawczemu przewodniczki. Pobiegli dalej, po kilkuset krokach Rudolf zauważył, że wychodzą ze wsi, w której kilka domów zostało zaalarmowanych trzaskiem niszczonej stodoły.

Zatrzymali się przed jakimiś skałami. Astrid zaczęła się na nie wdrapywać, potem znalazła jakąś ciasną szczelinę i wcisnęła się w nią. Tą szczeliną przeszła aż do wydrążonego, jakby zadaszonego balkonika, zrobionego w taki sposób, że osoby siedzące w środku miały możliwość widzenia tego, co się działo na zewnątrz, bez możliwości, aby ktoś ich dosięgnął w tym schronieniu. Na pewno zostało ono zbudowane z myślą o chronieniu przed potworami. Głęboka ciemność i mgła spowijały wrzosowisko, nie można było nawet dostrzec świateł zamku. Dobiegli tu bez lampy, więc każde z nich potykało się co chwila o falbanki sukni, długą koszulę, bądź po prostu o kamienie. Ze strony wioski dobiegł potężny ryk, słyszalny aż na skale.

Beatrice oparła się o ramię Rudolfa i zasnęła, wkrótce on zrobił to samo. Jedynie Astrid pozostała przy prowizorycznej barierce tarasu, obserwując fragment wrzosowiska, jaki mogła zobaczyć. Potem postanowiła wyjść na szczyt skały, aby zobaczyć co się dzieje we wsi.

Przecisnęła się przez szczelinę i wspięła się jeszcze wyżej. Przyglądała się terenowi z góry, w widocznym zza mgły, która była znacznie rzadsza w nocy, zobaczyła światła we wsi. Mieszkańcy obudzili się nawzajem. Teraz zapewne wypatrywali intruza. Na szczycie skały spędziła czas aż do rana. Mgły przybyło, jednak nie na tyle, aby nie widziano jej z czubka skały i żeby ona nie widziała drogi. Gdy już zrobiło się na tyle jasno aby rozróżniać kolory, ze strony wsi nadszedł tłum ludzi. Przeszli obok skały, zerkając z niepokojem na stojącą na szczycie sylwetkę w długiej, czarnej sukni, rzucali jej spojrzenia przepełnione lękiem i niepewnością. Gdy grupa wieśniaków przeszła, zeszła do Rudolfa i Beatrice, aby ich obudzić, udało jej się dopiero, gdy potrząsnęła nimi mocno. Wygramolili się ze szczeliny i zeszli na ziemną drogę, która była teraz pełna odcisków butów, czegoś w stylu materiału owiniętego wokół stopy i całej nogi, a także odcisków bosych stóp. Już bez pośpiechu dotarli nad jezioro, gdzie zebrała się całkiem spora gromada chłopstwa. Zajęli część południowego brzegu siadając na piachu, bądź spacerując nerwowo pomiędzy swoimi towarzyszami. Kilku z przedstawicieli tej grupki rzucało pogardliwe spojrzenia do Beatrice i Rudolfa, a na Astrid patrzyli z ciekawością i dziwnym oczekiwaniem, jakby na cud z jej strony. Minęli ich i powolnym, zmęczonym krokiem powlekli się w stronę zamku. Gdy dotarli na miejsce, była już dziewiąta.

- Gdzie jest wejście do piwnicy? - zapytała Astrid nagłym tonem.

Beatrice poprowadziła ją do małych drzwiczek w ścianie przy wejściu do kuchni z jadalni. Na dół prowadził ciemne, kręcone schodki. Beatrice podała jej lampę. Zeszła na dół, do małego pomieszczenia o kamiennych ścianach i podłodze z regałami zastawionymi dzemami. Rozejrzała się dokładnie po całym pomieszczeniu i zobaczyła, że jeden z regałów ma tylną ściankę zrobioną z drewna. Pociągnęła za niego, a tajemne przejście otworzyło się. Schody prowadziły jeszcze bardziej w dół, co zaczęło ją nieco jeszcze bardziej przerażać. Zeszła po nich i trafiła do okrągłego pomieszczenia z mnóstwem rur i jakichś dziwnych miedzianych naczyń, były tutaj tylko jedne drzwi. Szybko otworzyła je, aby nie skrzypiały i weszła w bardzo wąskie przejście z wnękami po obu stronach. Potem znalazła się długim pomieszczeniu

z rzędami klatek po obu stronach, pomiędzy nimi był czerwony dywan, wyszywany w jakieś kwiaty. Zza następnych drzwi dochodziło dziwne, nierytmiczne tykanie, bębnienie oraz ciężki, chrapliwy oddech, nietłumiony przez dosyć grubą stal. Położyła dłoń na klamce, ale nie odważyła się otworzyć drzwi, zrobił to ktoś z drogiej strony. W przejściu ukazała się potężna sylwetka czegoś dziwnie przypominającego człowieka, lecz nie będącego człowiekiem, nie miało to ludzkiej twarzy, tylko wilczy pysk, na rękach miało szare futro, ale na dłoniach ludzką skórę, szyja potwora i część nóg też nie były zwierzęce. Miał jednak pazury ostre jak brzytwy. Jego oczy nie świeciły się na czerwono ale błyszczały zielonym blaskiem. Miał na sobie coś w stylu beżowej togi, poplamionej krwią. Chciała odwrócić się i uciekać od tego okropieństwa, ale stwór chwycił ją za ramię i wciągnął do środka, przy okazji robiąc jej nieprzyjemne rany na ramieniu swoimi pazurami. Po chwili Astrid odzyskała zdolność racjonalnego myślenia i oceniła, że stwór może logicznie myśleć, skoro otworzył drzwi. Zaczęła rozglądać się dokoła w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki, bądź tymczasowego schronienia. Dostrzegła drzwi za plecami potwora, ale nie była pewna czy jest z piwnicy inne wyjście i czy drzwi właśnie tam prowadzą. Postanowiła zaryzykować, chwyciła kawał rury, leżący na ziemi i cisnęła nim prosto w pysk wilkołaka. Wykorzystała jego zdezorientowanie, aby podbiec do drzwi i otworzyć je. Gdy już znalazła się za progiem, zamknęła je i przystawiła jakimś metalowym stelażem. Znalazła się w całkiem dobrze oświetlonym pomieszczeniu, znowu z klatkami, tym razem nie były puste. Znajdowały się w nich, jelenie, podobne do tamtego wilkołaki, jakieś dziwne kombinacje człowieka z jaszczurką, węża z ptakiem. A wszystko było obrzydliwe i niedopracowane. Pobieгла do następnego pomieszczenia, tam były dziwne urządzenia wypełnione dziwnymi cieciami, które fosforyzowały bądź błyszczały metalicznie. W następnym zobaczyła jakby wybiegi, potem znowu klatki, aż wpadła wreszcie do czegoś co wyglądało jak elegancki salon

połączony z gabinetem. Przez niego chciała również przebiec, ale czyjś głos zatrzymał ją w miejscu:

- A dokąd to się wybierasz? Nie wiesz, że każdy kto tu wszedł, zostaje tu na zawsze?

Mówił jakiś starszy człowiek, z wąsikami i peruką na głowie. Rozpoznała w nim namalowanego na jednym z obrazów Wilhelma Ravenilla.

- Zabiłeś swojego brata, Wilhelmie – powiedziała siląc się na spokojny i chłodny ton głosu – to czyn niedopuszczalny.

- Nie zaprzeczam – roześmiał się.

- Jest pan okropny!

- Nie musisz mnie tak komplementować. Z tobą mogę zrobić to samo, a nawet gorzej... Uwięzę cię w ciele jednego z moich... podopiecznych..., których tworzę własnoręcznie.

- Nie zdoła mnie pan uwięzić w innym ciele.

Ruszyła do wyjścia, znajdującego się po przeciwnej stronie pokoju. Wilhelm wykonał ruch dłonią, jeden z jego wilkołaków podbiegł do niej i wbił jej pazury w lewą rękę. Pisnęła z bólu i zacisnęła mocno zęby, starając się nie krzyczeć. Przezornie nie ruszała się z miejsca, wiedząc, że stwór mógłby łatwo oderwać jej rękę, po prostu przecinając ją.

- I co teraz, panno Ockham? - zapytał ze zjadliwym uśmiechem – co teraz zrobisz?

- Ma rację – pomyślała – co teraz zrobić?

Ravenille zamknął oczy i odwrócił się do niej plecami, całkowicie przekonany o swoim zwycięstwie nad nią. Zaczęła sprawdzać w myślach wszystkie możliwości jakie miała, pomyślała nawet o próbie uśmiercenia wilkołaka, ale odrzuciła ją jako ciężką w wykonaniu. Nagle jej wzrok padł na miskę ze szklaną pokrywą podpisaną „Nagroda” z kawałkami surowego mięsa. Zahaczyła o nią czubkiem buta i powoli przyciągnęła do siebie. Miska miała krawędzie, które wyginały się nieco na zewnątrz a potem do wewnątrz, dzięki czemu łatwiej było ją dociągnąć. Z całej siły naparła nogą na szklaną pokrywę, roztrzaskując ją w drobne kawałeczki, które dostały się do mięsa. Wilhelm odwrócił się do niej i już miał wydać rozkaz, ale ona kopnęła miskę w taki sposób, że mięso wyleciało na dywany. Wilkołaki natychmiast rzuciły się na pokarm, nie zwracając uwagi na groźby i prośby Ravenilla. Nawet ten trzymający Astrid nie mógł się oprzeć pokusie i puścił ją. Ona zaś pobiegła do wyjścia, akurat jeden z podwładnych Wilhelma skończył jeść i dogonił ją. Mocnym uderzeniem w plecy posłał ją kilka metrów do przodu, resztę przeturlała się siłą rozpędu po podłodze. Natychmiast podniosła się i dopadła do klamki. Szarpnęła za nią i otworzyła drzwi. Nie pamiętała zbyt wiele z tego co działo się potem, pewnie ból w jakiś sposób zamazał jej te wspomnienia. Mogła sobie przypomnieć tylko bieg przez jakieś ciemne korytarze, obrzydliwy

zapach potworów goniących ją oraz ból przyprawiający ją o mdłości, w miejscu, gdzie jeden ze strażników Ravenvilla wbił jej pazury. Nie wiedziała jak znalazła się na dworze, potem w środku zamku a na koniec w saloniku, gdzie Beatrice i Rudolf siedzieli na sofie i bezradnie przyglądali się sobie nawzajem.

Po upływie dwóch tygodni od traumatyzującego wydarzenia, udało się Astrid powrócić do całkiem sprawnego funkcjonowania. Trzeba zaznaczyć, że przez trzy dni leżała w łóżku Ulissesa i spała jak zabita, a kolejne trzy spędziła w dziwnym stanie zawieszenia pomiędzy byciem świadomą wszystkiego co się dzieje wokół niej a snem. W dziesiątym dniu, przyszli policjanci i zaczęli ją wypytywać o wszystkie wydarzenia w jakich uczestniczyła i co odkryła. Z niedowierzaniem słuchali historii o wilkołakach, olbrzymie, jeleniu i bliźniakach. Na początku nie mogli uwierzyć, ale zniszczona stodoła, rozkładające się ciało jelenia oraz opowieści kolegów, którzy zainterweniowali, gdy Rudolf ich wezwał, udowodniły istnienie potworów. Informacja o Ravenville rozeszła się po okolicy, potem po pobliskich miastach, a potem nawet po całym kraju. Chłopi ze wsi wynieśli się, gdzie indziej, bo okazało się, że większość potworów uciekła podczas interwencji, nie dało się również znaleźć olbrzyma oraz rodziny strasznych jeleni. Nawet chory Ulisses w pewnym momencie się znalazł, a właściwie został znaleziony przez Astrid, na jednym ze spacerów. Siedział skulony pod kilkoma kocami w jakiejś opuszczonej szopie zbudowanej pomiędzy czterema skałami. Potem jak jego również pytano, odpowiadał, że kradł jedzenie od chłopów, a mieszkańcy potwierdzili, że rzeczywiście znikwały im zapasy żywnościowe.

Cztery tygodnie po śledztwie, Astrid wróciła do Edynburga okryta niesamowitą chwałą. Ulisses zamieszkał ze swoją daleką ciotką, a Beatrice dostała posadę w miejscowym szpitalu, Rudolf został zaś poetą i tworzył wiersze wychwalające mgliste wrzosowisko. Zamek Ravenville został opuszczony, lecz Flety Żałoby nadal grały, czasami słyszano wycie, ryki oraz inne straszne odgłosy dochodzące z wrzosowiska, co dowodziło, że potworni mieszkańcy zagarnęli tamto miejsce dla siebie, jako rekompensatę za długie lata spędzone w mrokach zamkowego lochu.

KONIEC

Agata Pawińska kl. 3a LO

Krwawa noc

Była mroczna, ciemna noc. Księżyc choć za chmurami wydawał się jak nigdy... czerwony. Byłem na spacerze , ponieważ nie mogłem spać. Usłyszałem dziwny hałas ze strychu w kamienicy, która była opuszczona już od bardzo dawna. Zdziwiło mnie to, ponieważ kamienica groziła zawaleniem i nikt nie powinien był się tam znajdować. Z jakiegoś powodu postanowiłem sprawić czy się przesłyszałem, czy może faktycznie coś się tam dzieje.

Wszedłem do ciemnej, brudnej klatki, na której były ledwo co trzymające się schody z drewna. Ostrożnie zacząłem wchodzić na piętro, lecz im wyżej wchodziłem, tym bardziej czułem, że coś jest nie tak. Na trzecim piętrze zauważyłem coś dziwnego - jakieś napisy w niezrozumiałym języku - co gorsza wyglądały na napisane krwią. Przyznam, że mnie to przeraziło, lecz usłyszałem dobiegający z piętra hałas, więc cofnąłem się szybko i ukryłem w szafie . Była ona cała pokryta w pajęczynach , lecz musiałem szybko się gdziekolwiek schować.. po chwili bycia w szafie - przez szparę w drzwiach zauważyłem dwie postaci, miały na sobie czarne szaty ze sterczącymi kapturami, wielkie noże przy pasach. Ręce oraz twarze, mieli całe w bliznach, a oczy choć na początku normalne po chwili pokazywały zło i to takie przerażające jakby wywodziło się z najgłębszej otchłani piekła. Te dwie postaci, po tym jak je zobaczyłem, zeszły na niższe piętro i zaczęły znosić dziwne przedmioty. Z początku wydawały się być normalne. Najpierw nieśli jakieś stare worki, tkaniny oraz naczynia, lecz po chwili zaczęły wnosić nie wiadomo czemu flagi III Rzeszy, stare mundury oraz portrety kilku nazistów. Najbardziej zwróciłem uwagę na portret przypominający Führera. Kiedy przynieśli wszystkie przedmioty, hałas oraz kroki ustały. Postanowiłem wejść na strych. Po cichu zakradłem się pod drzwi, na których widniały dziwne symbole, w tym także pentagram, który widniał na samym środku. Kiedy dotarłem do drzwi zacząłem słyszeć rozmowy po niemiecku oraz w jakimś niezrozumiałym języku. Jedyne co zrozumiałem to to, że była mowa na temat nazistów oraz III Rzeszy. Zacząłem się bardzo bać, chciałem uciekać, lecz usłyszałem skrzypienie schodów. W panice znalazłem dziurę w dachu, więc w akcie desperacji bardzo szybko się przecisnąłem przez tę dziurę i wszedłem na dach. Był on bardzo stromy i prawie z niego spadłem, lecz na szczęście wystawała z dachu drewniana belka, której się szybko chwyciłem. Jedyнным sposobem ucieczki było... poczekać aż do rana, bo wtedy może fanatycy III Rzeszy pójdą sobie stamtąd. Po pewnym czasie usłyszałem jakąś jakby modlitwę, a potem nagły bardzo głośny krzyk agonii, dobiegający z pomieszczenia, w którym siedzieli. Postanowiłem znaleźć w tym momencie inny sposób

ucieczki. Okazało się, że rynna pod moimi stopami, powinna mnie utrzymać. Postanowiłem zaryzykować, przesuwalem się jak najciszej przez cały dach, lecz to, co zobaczyłem zmroziło moją krew w żyłach i było to widok, którego nigdy nie zapomnę. Krzyk, który usłyszałem, należał młodej kobiety. Na oko mającej około 19 lat! Leżała tam martwa... w dużej plamie ciemnej, jej własnej krwi! Dokoła niej był namalowany pentagram, a nad nią stało sześć postaci. Jedną się z nich wyróżniała - miała na sobie czerwone szaty, na ramieniu swastykę, a w ręku zakrwawiony, ogromny nóż.

Nagle ta czerwona, nieznajoma postać zaczęła coś krzyczeć po niemiecku, a cała reszta w kompletnie nieznanym języku... szeptać. Pentagram zaczął płonąć. Wyglądało to tak, jakby pośrodku otwierał się portal prosto z piekła. Ciało dziewczyny spłonęło bardzo szybko. Jedyne co po niej zostało, to czaszka! Nagle na tej czaszce pojawiła się koścista ręka, która następnie palcem wskazała prosto na mnie! Wszyscy fanatycy w tym momencie spojrzeli na mnie a ja stanąłem jak skamieniały, szukając w głowie wyjścia z sytuacji bez wyjścia...

Maksymilian Styra kl. 3d LO

Tajemnicza komnata

Był ciemny, ciemny las. W tym ciemnym, ciemnym lesie były ruiny zamczyska, a w tym zamczysku były korytarze pełne pajęczyn, kości czaszek i gnijących ciał w beczkach.

Szłam tym ciemnym lasem i dotarłam do ruin zamku. Panował tam mrok, więc szukałam świecy, ale nie znalazłam żadnej. Niespodziewanie potknęłam się o ciało jakiegoś człowieka i otworzyły się drzwi, które wcześniej były zamknięte. Za nimi ukazała się tajemnicza komnata, byłam bardzo ciekawa co się w niej znajduje. Mimo strachu postanowiłam tam wejść. Usłyszałam za sobą dziwne odgłosy i kroki. Chciałam się odwrócić, żeby sprawdzić co to, ale w tym momencie zostałam uderzona czymś twardym w kark. Kiedy odzyskałam przytomność uświadomiłam sobie, że zostałam przywiązana do starego, zimnego i śmierdzącego łóżka. Słyszałam tylko swój oddech, był szybki i miałam wrażenie, że odbija się od wilgotnych ścian. Powietrze było ciężkie, cuchnące zgnilizną i krwią.

Nagle! ...usłyszałam powolne szuranie. Dźwięk był dziwny, nieprzyjemny i miałam wrażenie, że stanie się coś strasznego. Nagle spostrzegłam, że trupy, które wcześniej leżały bez życia, idą teraz w moją stronę. Zostałam otoczona w ciasnym kręgu. Ciała trzymały

w kościstych dłoniach resztki niedopalonych świec. Niektóre z nich jeszcze płonęły i pomieszczenie wypełniło się smugami światła. Widok był przerażający. Miałam wrażenie, że moje ciało kurczy się, jakby chciało całkiem zniknąć. Jeden z przybyłych szarpnął moje ramię i zaczął zadawać pytania :

- Kim jesteś?

- Skąd jesteś?

- Czego tu szukasz?

Chciałam odpowiedzieć, ale strach był tak ogromny, że zemdlałam. Po pewnym czasie, nie wiem ile to dokładnie trwało, poczułam na twarzy strumień zimnej wody. Ciało zaczęło się poruszać w dziwnych, nienaturalnych pozach – skręcać, przekrzywiać, wyginać. Każda twarz była zniekształcona, niektórym brakowało oczu, innym nosa. Głowa, pozbawiona zębów, nachyliła się nade mną. Poczułam przerażenie jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doznałam. Cuchnąca ziemią, zimna postać warknęła przeraźliwie :

- Zamczysko żąda ofiary, kto wchodzi ten zostaje tu na zawsze. Tak było, jest i będzie!

Próbowałam krzyczeć, cokolwiek odpowiedzieć, prosić, żeby mnie wypuścili, ale z mojego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Byłam sparaliżowana. Wszystkie ciała zaczęły się do mnie zbliżać i jęczeć :

- Już z nami zostaniesz...

Kościste dłonie odwiązały mnie i zaczęły ciągnąć w dół. Czułam, jakby pod podłogą otwierała się przestrzeń, która nie ma końca. Mroczna, nieprzyjazna i nieznana.

A potem wszystko zniknęło, rozplynęło się. Pozostała cisza, a w niej komnata i czarna pustka zamczyska. Pobiełam do wyjścia, a potem szłam przez ten ciemny, ciemny las. Opadłam z sił, nie wiem co było dalej. Wiem na pewno, że obudziłam się w swoim łóżku, było ciepłe, pachnące i przyjazne.

Agata Jaskuła kl. 2b LO